

# BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany  
tygodnik kobiecy*





W a r s z a w a,

S o l e c 87.

telefon 2-44-18.

# „BLUSZCZ“

społeczno-literacki  
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3

telefon 2-39-40.

Redaktor ki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelna) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła“ pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE — ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

## Treść numeru:

Ś. p. Minister Bronisław Pieracki. Źródła kryzysu tkwią w człowieku — *Zofja Kunicka*. Poezje: Noc Świętojańska — *Jadwiga Korczakowska*. Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer*. Kolorowy mistrz igły — *Hanna Skarbek*. Jarmark w Poczajowie — *Jerzy K. Maciejewski*. Rozmowa z senatorką Bramowską — *St. Osińska*. Wystawy szkół rękodzielniczych — *Jadwiga Korzeniowska*. Rodzinne przygotowanie ratunkowe — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Wychowanie i szkoła: Współzycie z dziećmi w czasie wakacyj — *Janina Strzelecka*. Matka i syn — *Zofja Sikorska-Bogusławska*. Wyjazd na wieś — *Stanisława Sznaper*. Nasz lekarz: Higjena wycieczek pieszych — *Dr Ewa Rajewska*. Jak zostałam lekarką? — *H. S.* Odpowiedzi kosmetyczne — *Dr. Zofja R...owska*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Arum — *Marja Dąbrowa*. Wilki i odrostki korzeniowe u drzew owocowych — *Marja Dąbrowa*. Wydry — *M. S.* Dom i gospodarstwo: Ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*.

## WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Solec 87 i Ś-to Krzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

## WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.			zł.	
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—	Okladka III-cia	}	$\frac{1}{1}$ str. okł.—	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	400.—			$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—			$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—			$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—			$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—			$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—
				Okladka IV-ta	}
					zł.

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ“ ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU“ powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.



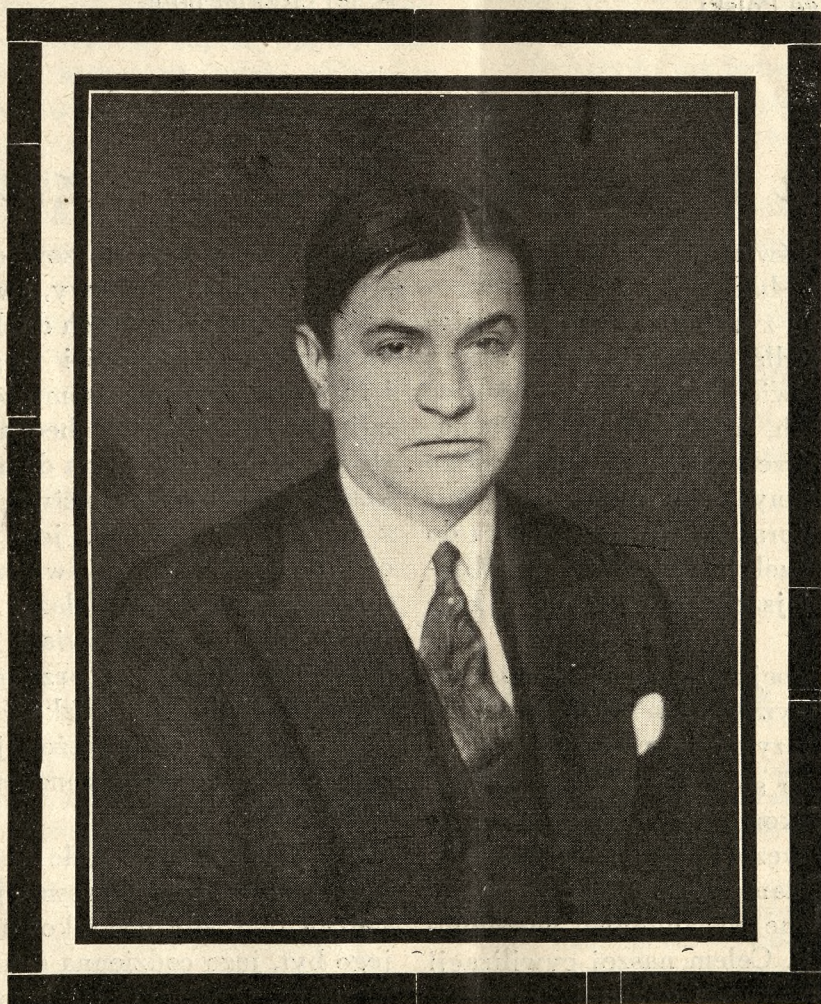
# Błystacz

SPOŁECZNO-LITERACKI  
ILUSTROWANY  
TYGODNIK KOBIECY

## ś. p. *Minister Bronisław Pieracki*

W dniu 15-ym b. m. wszystkie po polsku i po ludzku czujące serca zatrzęsły się z oburzenia i grozy. Ugodzony kulą nieujętego dotychczas zbrodniarza zmarł ś. p. Bronisław Pieracki, Minister Spraw Wewnętrznych. Skrytobójcza ręka wyrwała z pośród kierowników i organizatorów naszego życia mocarstwowego męża stanu o niezwyklej dzielności i niezłomnym charakterze. Zabrała go w chwili, gdy dobiegał za ledwie południa swego wieku, w pełni sił, energii i zapału, gdy miał przed sobą jeszcze tyle do zrobienia...

Ś. p. min. Bronisław Pieracki ur. w 1895 r., należał do duchowej rasy ludzi, którzy życie swoje oddają cał-



kowicie sprawie publicznej. Już jako uczeń szkoły średniej należy do Związku Walki Czynnej, potem do Związku Strzeleckiego. Dziewiętnastoletni student wydziału filozoficznego Wszechnicy Jagiellońskiej z chwilą wybuchu wielkiej wojny staje u boku Komendanta w szarym mundurze legjonisty. Całą kampanję wojenną odbywa w 4 pułku legjonów.

Po odzyskaniu niepodległości brał udział w obronie Lwowa, dowodząc oddziałem, broniącym odcinka „Dworzec Główny“ i odbył wszystkie kampanje bojowe w walce o granice Państwa Polskiego, odznaczony krzyżami „Virtuti Militari“ i Krzyżem Walecznych



Po sześciu latach nieustannej walki orężnej na polu bitwy przyszedł czas na pogłębienie wiedzy wojskowej. Major Pieracki kończy Wyższą Szkołę Wojenną i rozpoczyna intensywną pracę nad rozbudową armji polskiej. U boku min. generała Żeligowskiego jest oficerem do szczególnych zleceń, później szefem wydziału wojskowego w Min. Spraw Wewnętrznych, wreszcie zastępcą szefa Sztabu Głównego. Ale waleczny oficer i pełen incjatywy sztabowiec ma jednocześnie silnie rozwinięty instynkt społeczny, który ujawni się rychło w działalności publicznej. W roku 1928 wybrany zostaje na posła do Sejmu i pełni funkcje wiceprezesa klubu parlamentarnego B. B. W. R.

Mianowany wiceministrem spraw wewnętrznych w gabinecie premjera Świtalskiego w r. 1929 zostaje następnie ministrem bez teki i zastępcą premjera w gabinecie pułk. Walerego Sławka. Wreszcie w r. 1931 mianowany ministrem spraw wewnętrznych, stanowisko to piastuje aż do chwili śmierci.

Oprócz wyżej wymienionych krzyżów wojskowych ś. p. Bronisław Pieracki odznaczony był Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi, Orderem Polonia Restituta.

Nazajutrz po śmierci, w uznaniu jego zasług, Prezydent Rzeczypospolitej mianował go generałem brygady, a Rada Ministrów nadała mu wielką wstęgę orderu „Orła Białego“, którą Pan Prezydent własnoręcznie złożył mu na trumnie.

W zmarłym traci Polska wybitnego męża stanu, człowieka czynu, niestrudzonego bojownika o wolność, wielkość i potęgę Polski.

Zginał jak żołnierz — na stanowisku. Ominęły go wrogie pociski, którym śmiało stawiał czoło na polu bitwy, poto, aby wśród pracy pokojowej ugodziła go podstępnie kula z ręki skrytobójczej.

Zbrodnia dokonana na osobie ś. p. Ministra, wywołuje w nas nietylko grozę i oburzenie. Ona godzi w nasze poczucie sprawiedliwości, wolności, bezpieczeństwa osobistego, ładu i powinności obywatelskiej, poniża naszą godność narodową. „Wielką żelźwość wyrządzono Rzeczypospolitej“, powiedzmy słowami żałobnego mówcy, ks. prałata Popławskiego. I dlatego my, kobiety, któreśmy zawsze stały i stoimy na straży godności i sumienia narodowego, musimy najenergiczniej potępić metody anarchji, oddające życie ludzkie na pastwę skrytobójstwa. Z wyrazami czci dla zmarłego Ministra, który padł na posterunku, jako ofiara obowiązku i idei mocarstwowej, musi się połączyć jak najsurowsze potępienie morderstwa i mordercy.

Pogrzeb ś. p. Ministra Pierackiego odbył się przy udziale Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Rządu, wojska, korpusu dyplomatycznego i licznego duchowieństwa.

Za trumną postępowała najbliższa rodzina: matka, siostry i bracia, między nimi: Kazimierz Pieracki, wiceminister W. R. i O. P. i Zygmunt Pieracki, wydawca naszego pisma i dyrektor Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rozdzierający był widok sędziwej matki, odprowadzającej na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki tragicznie poległego syna.

Serca wszystkich matek Polski łączą się dziś z nią w jej ciężkim bólu.

## Źródła kryzysu tkwią w człowieku

Nowy lekarz wszechświatowej choroby, nowy głos w chórze doradców, badaczy i zwiastunów — Thierry Meaulnier. Jeden z najmłodszych przedstawicieli bojującego skrzydła prawicy francuskiej, dwudziestotrzyletni zaledwie autor wydał w książce szereg artykułów, objętych, mimo rozbieżności tematów, wspólną myślą: przebudowy współczesnego człowieka. Znaczenie tej myśli nie może się ograniczyć do ram ojczyzny autora, jej wartość dociera do wszelkich sumień, do wszelkich umysłów, nieobjętych zagadnieniem dzisiejszego stanu życia i kultury.

O ekonomicznych i socjalnych przyczynach tego zła, które nazwano kryzysem i które rozgryza rdzeń naszego świata, słyszy się bezustannie.

Ale Thierry Meaulnier sięga poza mocno zaciągnięty węzeł społeczno - ekonomiczny, tam, gdzie się ukrywa niemniej zawiły węzeł psychiczno - moralny.

„Mielśmy pewne zadanie do spełnienia — powiada; — wzięliśmy pewne posłannictwo na ramiona: tworzenie cywilizacji. Celem naszej cywilizacji było takie opanowanie wrogiej i odpornej przyrody,

takie przewyciężenie zewnętrznych trudności, aby stworzyć luksus życiowy, swobodę czasu i niezależność fizyczną, w których duchowe bogactwa człowieka, aspiracje, skłonności mogłyby wypowiedzieć się i rozkwitnąć. Tymczasem czego uczą, co nam pokazują dzieje i chwila obecna? Człowiek, istota myśląca i wolna, obdarzona dążnością wzwyż, leży uwikłany w pazurach tego stworu, którego sam wywołał z nicości. Nie przyroda jest teraz jego wrogiem, ale cywilizacja. Nie pełna swoboda, ani realizacja wewnętrznych wartości znalazły się u wylotu wiekowej pracy, ale przymus świata maszyn, ale tyranstwo praw ekonomicznych, przygniatający ciężar warunków materialnych. Ludzkość dąży do dobrobytu, dobrobyt zależy od wytężonej produkcji, wytężona produkcja od stopnia konsumpcji, czyli od stopnia dobrobytu“.

Powstaje błędne koło, w którym rozpaczliwie się kręci człowiek współczesny, produkując, aby spożyć, spożywając, aby produkować, gdyż od tego zależy jego byt, jego codzienna egzystencja. Choćby owoce jego pracy piętrzyły się bezużytecznie, choćby trze-



ba było je niszczyć dla nadmiaru, nie wolno mu ani na chwilę spocząć w absurdalnym wysiłku stwarzania dóbr doczesnych, dla którego cały świat dzisiaj zorganizował się w jedną wielką maszynę, w potworny piec hutniczy, który trzeba zasilać dniami i nocą. Wyżej duchowych wartości wzniósł się Olymp ekonomicznych potęg, złych bóstw, wypijających krew i pot ujarzmionego człowieka.

Punkt ciężkości zainteresowań świata współczesnego systematycznie przenosił się na sprawy materialne. Doszło do tego, że się na nich oparł wyłącznie i że jedynym motorem kierowniczym mas ludzkich, jedynym dogmatem, jedyną zasadą ideologii został wzrost i podział bogactwa“.

„Bezrobocie i nędza — mówi młody pisarz — urodziły się z szalonej chciwości, z jaką ludzkość poszukiwała i ubóstwiła materialne korzyści, gdy tymczasem jedyną istotną rzeczywistością, wartością najwyższą i niewymienną musi zawsze pozostać człowiek i tylko w stosunku do niego wszystkie dobra materialne mogą być brane pod uwagę“.

Tej prawdy prostej i jasnej systemy społeczne nie umieją jednak wykryć; leczą zło, powiększając jego rozmiar, przenoszą je na coraz to głębsze odcinki życia. Industrializm amerykański i kolosalne gospodarcze plany Sowietów zaprzęgają do traktorów i dynamomaszyn entuzjazm ludzki, obiecując wzamian doskonałości techniczne, olśniewającą wydajność produkcji, mityczną, sprawiedliwą, przeniesioną w przyszłość kulturę materialną.

Zło dzisiejszej cywilizacji, ujaskrawione w programach Ameryki i Sowietów, nie tkwi wyłącznie w aparacie, ale raczej w psychice twórcy — człowieka. On to oparł cały sens kultury na pojęciu rosnącego komfortu, wzmagających się potrzeb materialnych, on poddał wielki instynkt szukania własnych dróg pod władzę i kontrolę fanatycznych trybunów.

Walka wypowiedziana kapitałowi prywatnemu

kończy się zwycięstwem kapitalizmu Państwa, zmienia się więc tylko imię właściciela, nie zaś istota systemu.

Słowo duch zastąpiono obietnicami dobrobytu, wolność, godność ludzką — nakazem nieskończonego rosnącego obowiązku społecznego.

Z tego nie należy jednak sądzić, że Meaulnier przeciwstawia cele człowieka celom społeczeństwa: „nic nie znaczy obrona pierwiastka społecznego tam, gdzie jest w pogardzie pierwiastek ludzki, nic nie znaczy pierwiastek ludzki tam, gdzie jest w pogardzie pierwiastek społeczny“. Chodzi więc w pierwszym rzędzie o równowagę pomiędzy organizacją życia zbiorowego, a prawami człowieka, o ten element ludzki, jaki tkwi w źródłosłowie wyrazu „humanizm“. Chodzi o postać „człowieka wiecznego, zaniedbaną w epoce kolektywizmu. Zaniedbanie to jest symptomem upadku duchowego, którego najcenniejsze zdobycze kultury materialnej nie zdołają zastąpić: „źródła kryzysu tkwią w człowieku“.

Należy wątpić, czy książka młodego publicysty francuskiego zdoła wywrzeć wpływ i rzeczywiście siłą przekonania i logiki przeniesie wzrok ludzki na obszary dóbr duchowych. Czy w walce z kryzysem pomoże przywrócić należytą rolę wolnemu, świadomemu swej wystarczalności człowiekowi.

Byłoby to już jednak bardzo wiele, jeżeli ukazanie się jej można będzie poczytać za sygnał przemiany, odbywającej się w głębi ludzkości, za jaskółkę odrodzenia, powrotu, tak dymisjonowanych pojęć, jak humanizm i humanitaryzm, jak odpowiedzialność wewnętrzna człowieka, jak jego twórcze cele poza obrębem zorganizowanych komórek.

Płynie z artykułów Thierry Meaulnier zapal młodości i świeży powiew wiary, jak z każdej nowej epoki, choćby nią była ta, którą pożegnało pokolenie przed dwudziestu pięciu laty i którą zasypały gruzy wielkiej wojny.

Zofja Kunicka.

JADWIGA KORCZAKOWSKA

## Noc Świętojańska

To nie był zwykły las — tylko zaklęty bór!

To nie był dzieroczący śpiew — ale pogański chór!

Rzeka — nie była sobie zwykłą rzeką;  
miała tajemne, ważne poruczenia:

czyj los zamknięty w kółku kwietnym poniesie daleko?  
Jak świeczek rozjarzonych ciąg pozmieniał?

To nie był zachód słońca — lecz krwawa pożoga!

Dziwanny, Kupaty, bożki tańczyły po wszystkich drogach!

To nie był zwykły wieczór — ale cudowne święto...

Dłonie pachniały macierzanką i mięta...

Oczy jaśniej błyszcząły, niż płomyki świeczek...

Nogi skakały w wyścig, nad ogniem — koniecznie!

...Kwiat paproci? O, ten krocił, z pewnością!

Szukając go, walczyło się z lękiem, z ciemnością,

a wiara — ta największa siła

stulistny, śnieżny kształt u stóp jarwiła...

Gdzie jesteś, chwilo uniesień? Daleka — a tak bliska?...

Ty, sobótkowa nocy, radosna nocy dzierocząńska!..



# Nieumyślna cnota

W książce telefonicznej znalazły zapomniany adres i zaraz tam poszły. Była to znowu na drugim rogu narożna kamienica, i pierwsze piętro. Olbrzymie mieszkanie zawierało siedem pokoi, umeblowanych kilku starymi Biedermeyerami, grubą panią i starcem. Kosztowało pomimo swojego obszaru tylko czternaście tysięcy.

Karolina była zachwycona, chociaż nie było łazienki, a dwa pokoje nie miały wcale okien. Wszystko będzie można przebudować i zmienić, a nikt nie nabuduje już przecież gdzieindziej takich grubych murów ze skarpami, takich pięknych naokoło widoków, tego wszystkiego, co tak rozkosznie jest mieć, ale czego nie można zrobić za nie wiem jakie nawet pieniądze.

— Dam pani jutro znać, ale wszystko przemawia za tem, że je wezmę — powiedziała Karolina, już wychodząc.

Wesołe szły do domu, rozmawiając o pięknej przyszłości.

— Ja też będę już teraz szczęśliwa — powiedziała Adelfia — tak postanowiłam i tak będzie.

Jeszcze nic nie myślały, wchodząc w sieni, choć trochę je zastanowiła grupka ludzi, którzy tu stali. Jeszcze Karolina powiedziała:

— Dasz mi zaraz tę książkę z nowoczesnymi meblami, muszę sobie przejrzeć.

— Widocznie będzie jakiś wiec — dziwiła się Adelfia.

Między tymi ludźmi stała dozorczyni i zaraz oderwała się od nich, idąc za niemi kilka kroków, poważną, choć różowa i młoda, z kręconymi, jasnymi włosami. Poszła te kilka kroków, ale zakręciła się i zawróciła. Nie doszło to zaraz do świadomości, było jednak zdumiewające. Drzwi od mieszkania też były otwarte. Ktoś powiedział:

— Pani ojciec umarł.

Adelfia poszła do swojego pokoju po książkę dla Karoliny i bardzo się zdziwiła, że Karolina powiedziała ustami, które były blade:

— Gdzie idziesz? Nie trzeba.

Dziwiła się też, że tak jej było trudno chodzić, zupełnie nogi miała, jak nie swoje, miękkie, jakby naraz zabrakło w nich kości. Kiedy dała Karolinie książkę, zesłała niechętnie do salonu. Okna tam były pozastawiane, na dużym lustrze wisiało prześcieradło. Ciało, które kiedyś należało do ojca, leżało teraz na jego łóżku, sztywne i odpychające. Jego oczy były widocznie przez kogoś zamknięte, broda podwiązana chustką do nosa. Matka klęczała przy łóżku, ale wstała, kiedy zobaczyła Adelfię.

— Cicho — powiedziała — usunięte. Boję się, że to letarg.

Adelfia przeszła pobieżnie koło trupa ojca. Skąd się tu wzięło naokoło tyle ludzi? Czy jak ktoś umarł, to każdemu wolno wejść? Wydawało się, że się jest na scenie aktorów, każdy chciwie spoglądał, jak się też zachowa rodzina. Pod przymusem tego nastroju Adelfia wróciła się do łóżka, uklękła i pocałowała rękę ojca. Nigdy nie całowała go w rękę za życia. I teraz także było to przykrą manifestacją, nikomu na nic niepotrzebną, a najmniej ojcu samemu. Dotknąć się go było przykrością, jego ojcowskiej duszy nie było już w tem ciełe. Teraz jednak popłynęły łzy.

W rogu pokoju cały czas pewno stała płacząca Rozalja.

— Dlaczego tu tyle ludzi? — spytała dość głośno Adelfia.

— To podczas lekcji — powiedziała Rozalja, a usta jej były zupełnie skrzywione, jak paraliżem.

Potem tak było, że blisko drzwi na trzech krzeselkach siedziały matka, Karolina i Adelfia i wszystkie płakały. Drzwi się nie zamykały, ciągle ktoś wchodził i wychodził, ale nikt nie ośmielił się do nich podejść. Siedziały i bezwstydnie płakały na tem zupełnie odkrytym miejscu, gdzie każdy mógł na nie patrzeć. Potem Rozalja podeszła do nich:

— Trzeba iść na kolację, przygotowałam kwaśne mleko i kartofle.

— Chodź, Adelfiu — powiedziała także Karolina i objęła Adelfię ramieniem.

Ach, prawda, widocznie już dawno był wieczór, paliło się przecież światło elektryczne, i to Bóg wie od kiedy. Matka stała przy Adelfi, być może, że nie siedziała z nią wcale na tych trzech krzeselkach. Wszyscy obcy wyszli i drzwi były zamknięte.

— Nie trzeba tak siedzieć samej — powiedziała jeszcze Karolina — i nie trzeba tyle płakać, popatrz jak ty wyglądasz.

Adelfia wzięła łagodnie lustro z rąk Karoliny: rzeczywiście, wyglądała strasznie. Szczególnie oczy, Adelfia nigdy nie widziała u siebie takich oczu, nawet wtedy kiedyś, kiedy najwięcej płakała. Powieki wyglądały jak dwa wałki, czerwone i sine, jak dwie kiełbaski, trudno było porównać je do czegoś estetyczniejszego. A przecież jeszcze tyle trzeba będzie płakać!

Poszły do stołowego pokoju, Adelfia była nawet głodna, choć sama nie zdawałaby sobie z tego sprawy. Matka nic nie jadła i patrzyła przed siebie z całkowitą obojętnością. Po-

tem Rozalja, przynosząc herbatę, powiedziała:

— Zapaliłam świece przy panu, trzeba będzie przy nim przez noc posiedzieć, zawsze tak nieładnie.

— Ja pójdę — powiedziała Adelfia — a potem mnie ktoś zmieni.

Dwie świece paliły się równo, choć wiatr gwizdał w piecu zupełnie przerażająco. Potem jeszcze przez całe swoje życie Adelfia przypominała sobie to wycie wiatru w kominie przy trupie ojca: co było przyczyną, że wyl tak strasznie? Gwizdał, jak kos, cieniutko, to znowu zanosił się wstrząsającym rykiem, że zdawało się, komin się rozleci. Jeżeli się na chwilę uspokajał, to tylko dlatego, że gotował tem okropniejszy harmider. Nigdy w życiu nie słyszało się niczego podobnego.

Trup ojca leżał spokojnie, jak to trup. Wszyscy się boją trupów, ale przecież nie trupów własnych ojców. Cóż może być straszniejszego siedzieć przy tatusiu, który umarł? Zawsze się narzucało ogólne zdanie, strach, że zmarły może wstać i co zrobić, ukrećć naprzykład głowę? Ale tatuś był zawsze taki łagodny, i było doskonale wiadomo, że nie wstanie. Własna chęć ożywienia go choćby kosztem swojego życia była tego, niestety, najlepszą rękojmią. Więc poprostu tak siedziało się przy bezdusznej rzeczy, z której odeszło wszystko to, co kochało i było kochane.

Karolina przyszła, kiedy dzień już świtał, choć czas się wcale nie dłużył. Znowu: jak wczoraj, objęła Adelfię przez plecy, a w jej ładnych oczach z krótkimi, gęstymi rzęsami, można było czytać nieklamane siostrzane uczucie. Ale Adelfia nawet ją trochę odepchnęła, choć zaraz zapanowała nad tym odruchem. Pomyślała jednak: „ach ty podła, co ciebie to wszystko razem obchodzi, to przecież nie był twój ojciec!”

Posłusznie dała się sprowadzić na śniadanie, sama Karolina jej usługiwała, była taką śliczną, miłą pokojówką, że trudno się było do niej nie uśmiechnąć.

— Zaraz przyjdzie Andrzej — powiedziała — posyłałyśmy do niego zaraz wczoraj, ale go nie było w domu.

Andrzej zjawił się o czwartej rano, właśnie, jak Adelfia wstawała od śniadania. Wchodząc, zatrzymał się we drzwiach, przy których akurat stała Karolina i chwilę z nią rozmawiał. Być może, pytał się o zdrowie Adelfi, ale Adelfia zobaczyła w nim, obok prawdziwego współczucia, prawdziwie męską nieumiejęt-



ność okazania go, co ją niemile dotknęło. Zawahał się w drzwiach, rozmawiał z Karoliną, głupstwo, drobiazg, ale już się tego nigdy nie zapomni.

Można było wstać i bez słowa upaść w jego objęcia. Dlaczego jednak narzucał się ciągle teatr, nudne, wyświechtane formy przeżywania? Czy dlatego, że fakt był absolutnie nowy i niepojęty i że nie było żadnych wypracowanych form, w które można by było ująć? Chyba tak trzeba było jakoś postąpić, a zupełnie nie było wiadomo, jak, podczas kiedy ciągle obecność świadków nakazywała jakieś działanie, nie można było naprzykład nie zauważyć jego wejścia, bo wszyscy by się dziwili i dopytywali, co to znaczy.

Więc Adela poprostu podała rękę narzeczonemu i zauważyła zaraz, że może nawet przyniosło mu to ulgę, że nie potrzebował on znowu wyczyniać czegoś nadzwyczajnego i że to, co wymamrotał, choć czuł mocno i prawdziwie, zupełnie wystarczyło. A potem już Adela postępowała właśnie tak, jakby go nie było, pozwoliła sobie na to. Zdaje się, że poszła do sklepu kupować sobie krepę do kapelusza.

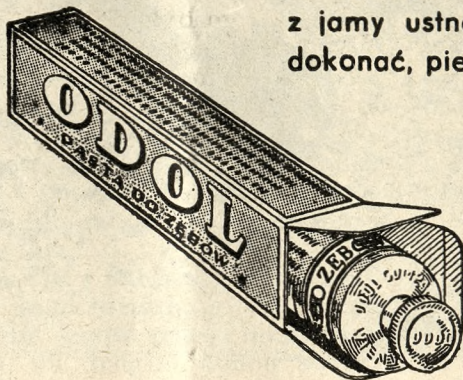
Żałoba była rzeczą śmieszną, jej błahość kontrastowała oburzająco ze śmiercią. Było przecież zupełnie obojętne, co się na siebie włożyło: kiedy ktoś umarł, myśleć o sukniach było nudno. Przytem żałoba była przykra i drażniąca, welon, którego kupna dopilnowała Karolina, przeszkadzał przy chodzeniu przez ulicę, czarne suknie i pończochy, których nikt nie nosił, zwracały ogólną uwagę wtedy, kiedy miało się ochotę być właśnie zupełnie niezauważoną. Adelia byłaby wolała włożyć starą suknię naprzykład czerwoną, wszyscy tego roku nosili kolor czerwony i niktby się nie spostrzegł, że Adelia już nie chce żyć. Kiedy wychodziły teraz we dwie z matką, musiały wyglądać, jak dwa czarne słupy, które już zdaleka widać. To było okropne. Za welonem świat był zielony, aż się w mózgu kręciło.

Ktoś widocznie zajmował się pogrzebem, bo ciągle coś się działo. Adela chciałaby, żeby jak najprędzej zabrano ciało z domu, ale wstydziła się o tem mówić, niewiadomo, co by sobie pomyślano. Przytem wyszła znowu na światło dzienne kwestja pieniędzy, ktoby to pomyślał, że taka sprawa, jak pochowanie kogoś, tyle kosztuje? Zresztą zaraz na drugi dzień okazało się, że ojciec ma być pochowany za rządowe pieniądze i to bardzo wspaniale. Adela chciała pochować go za własne pieniądze, cicho, z jakimś skromnym księżulkiem, tymczasem okazało się, że tak nie można, że właśnie teraz chcą ojcu dać bardzo dużo pienię-



## Wszelkie ciała obce

winny być bezwarunkowo usuwane z jamy ustnej i zębów. Można tego dokonać, pielęgnując zęby i jamę ustną pastą do zębów ODOL. Pasta do zębów ODOL zapobiega tworzeniu się osadu i brzydkiego zabarwienia zębów oraz wydzielaniu przykrego zapachu.



# ODOL

## PASTA DO ZĘBÓW

dzięki wysokiej zawartości składników koloidalnych, posiada wielką siłę absorpcyjną, czyści więc zęby dokładnie, usuwając wszelkiego rodzaju zanieczyszczenia, barwniki oraz niemiły zapach.

dzy, jakieś kilka tysięcy. Adela płakała i prosiła, żeby zrobić tak, jak ona chce, ale Karolina i Andrzej narzyczeli na nią, powiedzieli, że to zrobi na wszystkich złe wrażenie, że oni widocznie chcą się zrehabilitować z powodu tej posady, że taki wspaniały pogrzeb przypomni wszystkim, czem był ojciec i całe się od społeczeństwa należało. Adela uległa, a właściwie i tak nie mogła się tem zajmować, nie mogła o tem myśleć. Potem pomyślała kiedyś, że może i ten argument zaważył, że jej zostanie tych kilka tysięcy, które w ten sposób całeby poszły, ale okazało się, że to nie grało jednak roli, i było wtedy (może i tylko wtedy) obojętne.

Przez cały dzień zmieniały się tłumy ludzi, jedni przynosili kwiaty, wszystkie mianowicie dawne i nowe uczenice, a także jakieś niewiadomo skąd zjawione krewne. Adela patrzyła na nie szklanemi

oczami i dziwiła się, że niektóre z nich płakały, nazywając ojca opiekunem i dobrym człowiekiem, dziwiła się tak, jakby ona tylko sama miała na jego dobroć monopol. Jakaś stara kobieta przyniosła kilka narcyzów i prosiła, żeby je włożyć do trumny, ale trumna właśnie wtedy już była zalutowana.

Adeli nie było przy tem, było jej to obojętne, choć pamiętała o tem, że we wszystkich powieściach każdy chce zawsze po raz ostatni ujrzeć ukochane oblicze. Ona nie chciała już oglądać ciała ojca, miała mu za złe, że umarł. Potem szła za pogrzebem, i myślała, że tak właśnie wyglądać musiała droga krzyżowa, szczególnie kiedy kondukt zatrzymywał się na stacjach przed ministerstwem, gdzie ojciec przepracował ostatnie lata i przed towarzystwem Opieki Szkół Powszechnych, którego był jednym z założycieli. (d. c. n.)

Wanda Melcer.





Tak powstaje nowa szosa w Indjach.

## Kolorowy mistrz igły

1)

Godzina była wczesna, przedpołudniowa, a więc znośna do przeżycia w tym podłym kraju, gdzie boskie słońce znęca się nad ludźmi i zwierzętami z szatańskim okrucieństwem.

Pani majorowa Thompsonowa z przyjaciółką swą Agnieszką, tak słodką w tym dniu, że przypominała raczej Boginkę Się, prawniczka i zwierzchnią z szatańskim okrucieństwem. Pani majorowa Thompsonowa z przyjaciółką swą Agnieszką, tak słodką w tym dniu, że przypominała raczej Boginkę Się, prawniczka i zwierzchnią z szatańskim okrucieństwem.

Czteroramienny wiatrak elektryczny wirował nad ich głowami, czyniąc wielki wiatr w promieniu kwadratowego metra i rozpędzał na cztery strony jadowite komarzyska.

Zresztą co kilka kwadransów mały chokra<sup>1)</sup>, zupełnie czekoladowy i ledwo okryty szmatką w wąskich bioderkach, pojawiał się z pulweryzátorem i sumiennie flitował wydelikaczone kończyny „memsahib”<sup>2)</sup>.

Zycie białego człowieka na wschodzie, w dodatku, gdy przybywa z pysznego Albionu — jest wspaniałe! Odpowiednio też nudne i monotonne.

Zadowolenie jednak i pogoda kwi-

tły w tym dniu słonecznym między przyjaciółkami na werandzie, boski spokój w przyrodzie. Dokoła, gdzie okiem sięgnąć, rozpościerała się przepyszna panorama gór Himalajskich. Coprawda szczyty gigantów tonęły w mlecznych, poszarpanych obłokach, co było niewątpliwą oznaką, że deszcze się nie wypadały, acz monsoon<sup>3)</sup> rządził się już czwarty miesiąc do znudzenia.

Widok gór o tej porannej godzinie szafirowo zielonych, omgłonych i złudzeniowo chłodnych, był tak magnetyzujący, że pani Agnieszka roztopiła się cała w admiraowaniu.

Niezawsze więc trafnie mówiła króciutkie — yes — albo — no — w odpowiedzi pani majorowej.

W ogrodzie bujnie rozzielenionym, obficie o tej porze roku kwitnącym aż pstrzyło się od orgji kolorowego kwiecica.

Zdawać się mogło, że lada zielsko, wetknięte w wilgotną, a tłustą ziemię, zakwitnie wnet czarodziejskimi kielichami. Panowała też znamienna cisza, zwiastująca nastanie południa. Ptaki pochowały się w gąszczach, wszędybylskie jaszczurki, uważane za przyjaciółki człowieka, pozaszywały się do kryjó-

wek, tylko rdzawe, szeroko-skrzydłe jastrzębie kołowały sennie nad bungalow<sup>4)</sup>. Kierowały się coraz wyraźniej w stronę zabudowań kuchennych. Wiadomo, pora przedpołudniowa, a więc najgorętszy ruch w tej części domu. Największe też możliwości porwania jakiegoś smakołyka w odwiecznej rywalizacji z natrętnymi wronami.

Czarne te, dziobate ptaszyska mimo bestjałskich prześladowań ze strony kucharza, — był mahometaninem, prawowity Hindus szanuje wronę, jak świętość, — wytrwale czatowały na dachu na lada okazję.

Odważne do bezczelności, gdy chodziło o dogodzenie podniebieniu, wlażyły niemal pod stół kuchenny i zaglądały do garnków.

Pani domu po rannej inspekcji rzadko kiedy zazierała w te strony. Nie było to bowiem rzeczą godziwą kontrolowanie sługi tak odpowiedzialnego a wiernego, jakim był imć master cook, przybywający z ojczyzny specjalistów sztuki kuli-

<sup>1)</sup> Chokra — chłopak p. h.

<sup>2)</sup> Memsahib — pani p. h.

<sup>3)</sup> Monsoon — deszcz tropikalny trwający cztery miesiące od czerwca do października.

<sup>4)</sup> Bungalow — willa.



narnej, z Goy. Chyba że jakaś awantura, grzmot przekleństw i lament doleciał z tej części domu. Można było zresztą zgóry powiedzieć, że łakome ptaszysko porwało właśnie z patelni świeżo upieczone kurczę w chwili, gdy mistrz zajęty był podziałem rodzynek na dwie części: większą na własny użytek, mniejszą na pudding dla państwa.

Czy złodziejski ptak pożywił się zdobyczą, czy, jak chce podanie, zaniósł ją w darze zmarłym duchom, czy może uległ drapieżnej przemocy czyhającego w pobliżu jastrzębia, było to już obojętne, skoro na poczekaniu trzeba było zaradzić nieszczęściu i wzywać interwencji Madam.

W tym dniu jednak błoga harmonja panowała w obejściu, przerywana chyba tylko zrzadka błędnym krzykiem — „brain-fever“<sup>5)</sup> ptaka idjoty, słusznie przezwanego febrą majową. Powtarzany w równych interwałach, jednostajny a przeraźliwy lament krzyka-cza przyprawić mógł o pasję.

Przywoływano natychmiast chokrę i kazano mu idiotę przepędzić. Zlecenie spełniał rzeczowo. Zaprawiany od pacholęcia do usług człowiekowi białemu, mały synek kucharza z filozoficznym spokojem spełniał wszystkie hukum<sup>6)</sup>, nawet gdyby były tak cudaczne, jak odstraszanie cuchnącym płynem owadów, czy wypłaszanie z ogrodów ptaków i małp, które niepokoiły. Jego, chokrę, muchy nie gryzły, a każdy ptak krzyczący po swojemu był potrzebny i nikomu tu nie zawadzał. Małpy zaś należały do świętych stworzeń. O tem wiedział każdy człowiek na ziemi.

Wartość jednak dziesięciu rupij<sup>7)</sup> na miesiąc była zbyt namacalna, praca nietrudna, zabawna, młodociany więc obywatel hinduski czatował zawsze gdzieś w pobliżu werandy, gotów każdej chwili bronić białej swej pani, przed niebezpieczeństwem latających mrówek lub napastliwym najściem skorpionów i pajaków.

A pani mogła w skupieniu ducha oddawać się po całych dniach sprawom wyższym. Szczególnie w tym dniu tygodnia, gdy poczta z Europy, po miesięcznej wędrowce docierała wreszcie na półwysep Hindostański. Cały rój tygodników i magazynów opadał na werandę, kusząc i narzucając się swemi krzyżąciami okładkami, ale Madam koncentrowała się cała narazie na jednym perjodyku: „Vogue“.

Było nad czem się pogłowić, skoro wstępny artykuł opiewał radykalną zmianę sylwety damskiej. Stało najwyraźniej, że supremacja rękawów w nowoczesnej szacie niewieściej, po kilkuletnich wybrykach i ekstrawagancjach, jak bufy, epolety, skrzydła i fru-

# Krem „Ultrasol“

krzepi skórę twarzy i ciała, dzięki promieniowaniu zawartych w nim promieni ultra-fioletowych. Tej własności zawdzięcza krem „ULTRASOL“ oraz olejek „NEGRITA“ zdolność szybkiego, równomiernego opalania skóry słońcem, bez narażenia jej na zapalenie. Wykwintny i wonny ten krem, acz niezwykle tani, pokrzepia cerę i w dniach pochmurnych, chroniąc ją jednocześnie przed szkodliwymi zmianami atmosferycznymi.

wajki, schodziła na plan ostatni, raczej, na miejsce właściwe. Rękawy miały być obecnie skromne, nie rzucające się w oczy, niemal niewidoczne. I długie. Zwłaszcza to ostatnie, długie bezwarunkowo. Pani majorowa zapaliła papierosa.

— Styszałaś — zwróciła się do duszy siostrzanej, bujającej wciąż wzrokiem na szczytach Himalajskich, — potem wróciła z Europy i przywiozła gałganów co najmniej na trzy lata...

— Myślę, darling, — odrzekła sennie dusza bratnia, mrużąc raz lewe, to znów prawe oko, — że nas, tu, na drugim końcu świata, te drobiazgi nie obowiązują...

— Więc rękaw jest dla ciebie „drobiazgiem“?

— Ależ, kochanie, rękaw w istocie nie jest drobiazgiem... ale wogóle... a zresztą... Pani Agnieszka konstatowała z przerażeniem, jak słabo się orjentuje, gdy na termometrze słupek rtęci dosięga już 95° w cieniu. Na szczęście po drugiej stronie domu rozległ się turkot. Ktoś zajeżdżał autem pod szeroki, kamienny ganek.

O tej samej godzinie dnia, gdy ród męski tego skupiska ludzi z Europy zajęty był właśnie ćwiczeniem dzielnych żołnierzy Nepalczyków, a ród niewieści osadzony wygodnie i beztrąsko w pałaczkach, niby w twierdzach, ktoś przybywał nagle w odwiedziny.

Chudonogi chokra przecwalał koło werandy, dając znać wszystkim w obejściu, że jest na co pogapić się; za nim pognął wścibski foksterjer, który zawsze śpieszył pierwszy na przywitanie gości i pierwszy też odwracał się od nich znudzony.

Na progu wyrósł w białych swych pantalonach i zielonym turbanie mistrz ceremonji domowej, Tambur, i oznajmił przybycie pani kapitanowej... z przeciwną.

Za chwilę była też sama we własnej, szczupłej osobie, laskonoga z papierosem w ustach i po męsku ostrzyżoną czupryną. Zda się gołowąs przebrany w suknie niewieście.

— Hallo dzieci! — zaskrzeczała na przywitanie, — przynoszę nie-

zwykłą nowinę, zgadnijcie! — Wyrzaz młodzieńczej jej twarzy zdradzał tak szczere poruszenie, że można było przypuszczać rzeczy najdziwaczniejsze. Wszak dopiero wczoraj wieczorem widziały się na coctail-party u tego nudziarza pułkownika i nie miały już sobie nic, dosłownie nic do zakomunikowania. Tak samo, zresztą, jak przedwczoraj.

— Gandhi zakończył życie w więzieniu... — szepnęła pani Agnieszka ze zgrozą.

Kapitanowa zastrzygła oczkami: stale zapominała, że ta płowółsa przyjaciółka jej przyjaciółki jest cudzoziemką, przybywającą z jakiegoś zapadłego kąta w Europie i miewa często dziwaczne pomysły.

— Och, darling! co ty wygadujesz! — skarciła pani majorowa, która nigdy, jak przystało na córę dumnej swej ojczyzny, nie interesowała się podobnymi sprawami.

— A więc dzuma, napewno jakaś... cholera! Gazety od tygodni już donoszą o wypadkach w Poonie a może wojna??? — szepnęła mniej pewna pani Agnieszka, dziwiąc się zresztą, jak wielką wagę przydają Anglosasi sprawom błahym, a przechodzą większą uwagę bok godnych większej uwagi.

Ale przyjaciółka jej położyła kres tym cudacznym pomysłom.

— Już wiem! — ćwierkała. — Jim zabił wreszcie tę utrapioną czarną panterę? Przenoszą was do Egiptu. Pokonałaś w golfa tę... tę...?

— Nie, nie! darling — krzyczała kapitanowa — generalicja zjeżdża tu do nas na inspekcję z całym sztabem, za trzy dni!

Pani Gladys powtórzyła jak e-cho:

— Generalicja i tylko trzy dni? Powiedział ci Jim?

d. c. n.

Hanna Skarbek.

<sup>5)</sup> Brain — fever — febra mózgowa (zapalenie mózgu).

<sup>6)</sup> Hukum — rozkaz p. h.

<sup>7)</sup> Rupja — moneta hinduska — równa się 1 szylingowi i 4 pensom.



# Jarmark w Poczajowie

(zdjęcia autora).

Miasteczko to, niegdyś handlowe, znaczenie swe i sławę zawdzięcza starożytnemu klasztorowi z cudownym obrazem Bogarodzicy. Przed rokiem stało się głośnie na całą Polskę z racji demonstracji Ukraińców, domagających się zukrainizowania tamtejszej cerkwi prawosławnej. Demonstracja ta osiągnęła skutek. W twierdzy prawosławia zrobiono pierwszy wylom...

Sam Poczajów bez klasztoru i dochodu, płynącego z licznych pątników, byłby mizerną dziurą prowincjonalną. Godzi się tedy zaznaczyć, że klasztor jest bardzo starożytny, podług podania bowiem już w XIII wieku zakonnicy — bazylijanie mieli w pieczarze na tej górze małą kapliczkę, a w niej ślad stopy N. M. P., która w tem miejscu miała się objawić jednemu z zakonników. Przeglądając się dzisiejszym mnichom, wątpię, aby Matka Boska zechciała im w ten sposób objawić swoją łaskę...

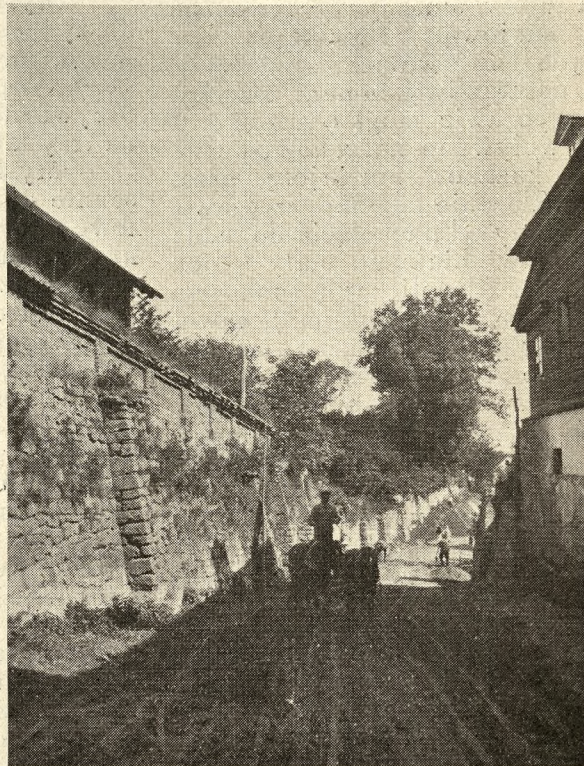
Poczajów leży w odległości kilkunastu kilometrów od dawnej granicy austriacko - rosyjskiej i w czwartek, będący dniem targowym, ściąga tłumy ludności z całej okolicy. Jak twierdzą poczajowianie, tu tejsze jarmarki, zwłaszcza w zimie, mają dla tej części Wołynia duże znaczenie.

W czwartek wypadło Boże Ciało, więc jarmark został przelożony na dzień następny, ale ten dzień ujrzałem już od rana przez zasłonę gęstego deszczu. „Oto szczęście w nieszczęściu” — pomyślałem — „Wołyn ginie z posuchy. Po upałach przyszyły przymrozki, które wyrządziły znaczne szkody. Żyto nędzne i rzadkie, gryka ledwo, ledwo wschodzi, ogrodnictwo zawodzi, więc niechże ten deszcz leje trzy dni bez przerwy”. Aliści koło 10-tej zaczęło się rozpogadzać i wszystkimi drogami, wiodącymi do Poczajowa, jał się wlewać potok wozów i pieszych.

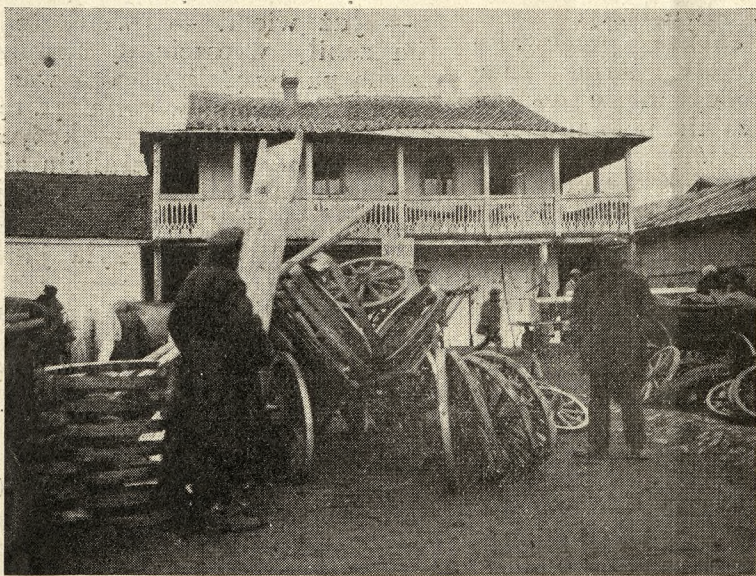
Potrzebowałem jednak sporo czasu i nauczki ze strony konia, który mnie w zgola ordynarny i nieoczekiwany sposób kopnął, abym się połapał, gdzie kto staje i co ma do sprzedania. Tu targ na nierogaciznę, przeplatana krowami, tu wielki majdan, gdzie prezentują konie; tu wozy z zieloną paszą, ze zbożem, ziemniakami (bardzo dziś w cenie), tu obuwie, a tu



„Budują się! Na dalszym planie mur cmentarza kościelnego.



Uliczka w Poczajowie.



Kołodziej na targu na tle zabytkowego domu z galerijkami.

kramy z lokciowemi towarami, najbliżej zaś Ławry gęste mrowie bab z kurami i nabiałem.

Opodal, za straganami, stały żydowskie fury, z wielkimi na nich klatkami. Cała sfera agentów myszkowała po targu, skupując drób i jaja. Odbywa się to tak: do zdążającej dopiero na rynek, lub do oczekującej na nabywcę baby zbliża się energicznie agent... Milecząc i w sposób dość gwałtowny bierze z jej rąk lub wyjmuje z koszyka kurę, przelotnie waży w ręce, podnosi, dmucha pod ogon i pyta się „ile?”. Cena waha się od 60 groszy do złotówki — bez względu na wagę. Baba najczęściej się zgadza, bo i cóż ma robić? Konkurencji tu niema żadnej. Żydzi stanowią 99 i pół procent kupujących i jeden drugiemu interesów nie psuje. Zdarza się, że cena kur spada do 40 groszy. Indyki i gęsi po dwa złote, sam przekonałem się o tem. Masło po złoty pięćdziesiąt za kilo i ku końcowi targu nie chciano go wogóle kupować. Każdy się zgodzi, że proporcja:





Na targu w Poczańowie.



...Chłop liczył pieniądze, baba daje baczynie...

kilo masła za kilo cukru jest wybitnie krzywdząca wiejskiego producenta i że tu właśnie, w tej nierównomierności cen na produkty przemysłowe i rolne, tkwi przyczyna tego straszliwego stanu, w jakim znajduje się nie tylko kresowa wieś polska.

Zakrywając aparat fotograficzny przed nową, przelotną falą deszczu, powoli mijalem stragany.

— Nu dieszowka, dieszowka, dieszowka!! Try na pjat, skilki dawat? — wołał handlarz obwarzanków.

— Wsi swiatyje ludi, diwiś! — darł się inny, uderzając o siebie dwoma kawałkami szarego mydła.

Na dragu wiszą gęsto zawieszony marynarki, obok na ławie leży stos spodni. Jakiś stary chłop z synem krążą przez pewien czas w pobliżu, wreszcie jak królik, magnetyzowany wzrokiem węża, rzucają się w łapy przepkupnia. Zaczyna

się targ, przymierzanie. Kupiec zręcznym ruchem, ozdobionym swoistymi wywijasami, chwytając spodnie i, przechylny wtył, kokietyrnie przymierza je u jednego biodra. Chłop waha się. Kupiec chwytając drugą, trzecią parę, wreszcie dostrzegłszy w oczach klienta iskierkę zainteresowania wciska mu towar w garść. „Bieri!”

Teraz wylania się kwestja ceny. Słucham i uszom nie wierzę. Cena tej niezbędnej garderoby wynosi aż złotych dwa i groszy pięćdziesiąt. Lyle daje chłop, a kupiec po rzekomym namyśle zgadza się, ze słowami:

— Dajcie i żydowi 20 groszy na chleb zarobić.

Bijąc się ręką w piersi, przysięga, że liczy właściwie tylko za robotę, a materiał... — tu z determinacją macha dłonią.

Nieco dalej inna scenka. Wóz, na nim ciełe, obok stoi właściciel, mocno czegoś gniewny. Nabywca, żyd, wyciąga do niego w ręce pieniądze. Głowę ma odwróconą w prawo, nie patrzy ani na chłopca, ani na ciełe. Oстрыm, przynaglającym tonem woła do chłopca:

— Na, bieri!

— Ni — powiada ze złością chłop.

— Bieriosz? Bieri! — krzyczy.

— Ni! — odkrzykuje chłop.

Kupiec z gniewem odchodzi

Na świńskim targu grasują rzeźnicy, głównie chrześcijanie. Podobne czerwone, opasłe gęby i kanciaste figury spotkać można i w Smorgoniach, i w Ostrołęce, i w Łukowie, i na Pradze. Oni dyktują ceny na nierogaciznę, w ich kieszeniach tonie zysk, należny producentowi. Wielki, spasiony wieprz otakowany jest przez nich na 65 złotych, czyli niecałe pół złotego za kilo żywej wagi. Chłop jest w rozpacz. „Nie oplaci się hodować... Więcej zeżre, ale cóż robić? Jest to swego rodzaju złudzenie: karmi się świnie drobnymi stosunkowo porcjami, a potem bierze się jednorazowo „Grubszy grosz”.

Targ jest i będzie wielką atrakcją dla człowieka ze wsi. Na Białorusi gospodynie niosły dziesiątek jajek do odległego o 10 kilometrów miasteczka, aczkolwiek otrzymały tam tyleż, co od nas na miejscu. Ale idąc na targ, kobieta wolna jest od pracy w polu, zobaczy dużo nowych ludzi, nagada się dosyć, wreszcie kupi jakiś drobiazg, którego niema we wsi. Targ — to wielka, gadająca wszystkimi tonami gazeta, to za-sób wrażeń i wiadomości na cały tydzień, to sposobność pokazania się i zobaczenia innych.



...Coraz rzadsze domy z filarkami i galerjami w stylu „krzemienieckim”.



...Kartofle doszły do 6 złotych za centnar. Żyto płaci się po 8 i pół. Masło znów staniało. Owoce wcale nie obrodziły. I czy wiecie? Klasztor Poczajowski, jak co roku, sprzedał żydom jeszcze w zimie cały zbiór owoców ze swych ogromnych sadów i — owoców wcale niema... A to wpadli na kilka tysięcy dolarów! Od jutra trzeba z koniem i wozem na szarwark do wożenia kamieni. Gdzie? A no przecież przedłużają drogę bitą z Poczajowa do Łosiatyna. Szosa? To pewnie znów dla tych osadników wojskowych... Takie to mniej więcej pogwarki prowadzą kumoszki na targu poczajowskim.



Zakładanie „parku” w Poczajowie.

Ale nawet i tutaj powierzchowny obserwator nie dostrzeże nędzy, trawiącej wieś wołyńską. Można ją lecz przyparty do muru zwraca miedziaka i biegnie po dalszy — taki czy owaki — zarobek.

Jerzy K. Maciejewski.

ocenić dopiero po zniknięciu spożyciu cukru i soli, po braku jakichkolwiek potrzeb kulturalnych, po trudności, z jaką są ściągane podatki i po tej rozpaczce, jaka duszającym kłębkami podstacza się pod gardło rolnika...

Baba sprzedała żydowi trzy tuziny jaj po pół trzecia grosza. Należy się jej 90 groszy, lecz nabywca wypłacił w drobnym bilonie, groszy 85. Wywiązuje się gwałtowna sprzeczka. Baba gotowa oczy pazurami wydrapać: pomyśleć — pięć groszy. I ją to chce oszukać?

Żydek tłumaczy się, czerwony krzyczy, zaprzecza. Wzywa mnie na świadka,

## Rozmowa z senatorką Bramowską

W tych dniach Warszawa gościła w swoich murach wycieczkę, złożoną z 1500 Ślązaczek, należących do organizacji „Towarzystwa Polek”. Stolica nie mogła oderwać oczów od szerokich, suto faldowanych, białych, krochmalonych spódnic, sznurów koralu na szyjach i sztywnych, białych czepców na głowach. Tęgie, wysokie Ślązaczki, o pełnym dumy i energii spojrzeniu kroczyły ulicami Warszawy, rozglądając się z ciekawością dookoła. Ale oko przechodnia zatrzymywało się najdłużej na majestatycznej, starszej kobiecie, w brokatowej spódnicy i czerwonej chustce na głowie, która na czele barwnego pochodu wiodła go do grobu Nieznanego Żołnierza, do Belwederu i na Zamek.

— Kto to jest? — pytał z ciekawością przechodzień.

— Senatorka Bramowska!

Każdy, kto interesował się Śląskiem, zna legendarną niemal postać gorącej patriotki i wielkiej śląskiej działaczki, pani Bramowskiej. Całe swoje życie walczyła o wolność Śląska i szła długą drogą licznych poświęceń i zmagań, która ją zaprowadziła wreszcie do Senatu. Pomimo 75 lat życia, obfitującego nietylko w pracę społeczną, ale i fizyczną, nie straciła energii i chęci do czynu.

Z miłym uśmiechem na czerstwej, opalanej twarzy, chętnie wspomina dawne dzieje i jej niebywała pamięć wprowadza nietylko w zdumienie mnie, ale i grono warszawskich przyjaciół, których z ła-

twością zjednywa wyjątkowo silną indywidualność senatorki Bramowskiej.

— Jo tam zawsze coś musiałam robić — twierdzi, poprawiając fałdy suto marszczonej spódnicy, tworzącej wokoło jej rosłej, krzepkiej postaci sztywną, mocną krylinę. — Jakem była dzieciakiem, to kartki wyborcze nosiłam do kopalni wieczorem, bo tatulo sam obawiał się...

Całe jej życie obfituje w wiele barwnych epizodów, które opowiada z niebywałym humorem i swadą. Nie wstydzi się przyznać, że skończyła tylko kilka oddziałów szkoły powszechnej. Całą swoją mądrość czerpie ze Starego Testamentu.

— I nigdy mnie nie zawiódł — śmieje się, pokazując dwa rzędy, białych, zdrowych zębów.

Z niebywałym poczuciem humoru opowiada o licznych wypadkach, kiedy ją aresztowano i jak wyprowadzała w pole władze niemieckie.

— Pamiętam, to było 7 sierpnia 1914 r. — mówi — Dwóch żołnierzy przyszło do naszej chałupy, zabrali mnie, prowadzili 7 kilometrów przez las, aż doszliśmy do Sądu. A tam sędzia zaczął na mnie krzyżeć, jak śmiałam powiedzieć, że Niemcy wojnę wywołali, ale ją przegrają. Ale jo nie taka! Zastrachać się nie dom! Więc mówię sędziemu, że słyszałam od Niemców, że sami wywołali wojnę, a że ją przegrają, to mi się śniło.

— Jakto śniło? — woła z oburzeniem sędzia.

A jo na to:

— Józefowi Egipskiemu też się śniło, to dlaczego mnie nie miało się śnić?

— I wypuścili panią? — pytam.

— A co nie mieli puścić? Za sen karać nie można!

Trzy lata przed wybuchem wojny, senatorka Bramowska stawała w Sądzie w Bytomiu, w charakterze świadka w sprawie o 300 talarów.

— Kazali mi gadać po niemiecku, a jo na to: „Nie umiem po niemiecku”. Więc sędzia mówi: „To źle”. „To źle, że sędzia nie mówi po polsku, bo Sąd jest dla ludzi, a nie ludzie dla Sądu” — odpowiadam.

Nie przestraszyła się senatorka Bramowska, w duszy się śmiała, że wywodziła wszystkich w pole.

— Tłumacz musiał wszystko tłumaczyć, com mówiła — snuje nic swoich wspomnień. — Ale nie tego tłumaczył. Potem dali mi do podpisania protokół. A jo na to: „Zeznałam po polsku, to po polsku podpiszę. I tam było, że sprawa jest o 300 talarów, a tu stoi, że o 600 marek”. Więc mi sędzia tłumaczy, że 300 talarów równa się 600 markom. A jo na to: „To niech tak w protokole napiszają!”.

— Napisali?

— Pewnie. Przecież moje było prawo! Tylko nagadali mi potem, że jak śmiem mówić, że po niemiecku nie rozumiem, kiedy to nieprawda. Ale to było już po sprawie. A co mieli ze mną kłopotu, to mieli!

Podczas drugiego powstania, senatorka Bramowska stanęła przed



Sądem Wojskowym, oskarżona o twierdzenie, że na Górny Śląsk przyjdą Polacy. I tym razem nie straciła zwykłej pewności siebie i przytomności umysłu. Chociaż groziło jej wieloletnie więzienie, a może i kara śmierci, odpowiadała śmiało, przywołując na pomoc liczne fortele, które ją do tej pory ratowały.

— Słyszałam, jak inni mówili, że Polacy przyjdą na Górny Śląsk, więc i ja tak powtarzałam — zeznała.

Na wargach przewija się wesoły uśmiech.

— Pamiętam, jak Niemcom oczy się zaświeciły. „Kto mówił?” pytała. Myśleli, że głupia, wiejska baba zaraz wyśpiewa im ze sto nazwisk. A ja na to: „Jakem szła w czwartek do Tarnowskich Gór na targ, to słyszałam, jak rozmawiali między sobą oficerowie i...” To już nie pozwolili mi skończyć, tylko kazali iść precz!

Pierś senatorki Bramowskiej jest ozdobiona licznymi orderami, wśród których nie brak Polonji Restituty.

— Za co pani ją otrzymała? — pytam.

— W Piśmie Świętym powiedziano, że „wybaczcie im, bo nie wiedzą, co czynią”. Ale pewnie ci co dali mi Polonię, to dobrze wiedzieli — uśmiechają się chytrze małe, ciemne oczy.

— A inne ordery?

— Żem niby pracowała na plebiscyt. Ale najlepiej niech pani

spyta tych, co dawali, bo ja się ich o to nie pytałam...

Po chwili snuje dalej nić swoich wspomnień.

— Jakem w 1932 roku przemawiała w Katowicach na rynku przed mikrofonem, to cały rynek był zavalony narodem. „Trevirusie” mówię „Nie znasz historii Starego Zakonu! Salomon był najmądrzejszy, a kobieta go zmoła! Dawid był najsprawiedliwszy, ale kobieta go obaliła! Salomon był najmocniejszy, ale i jego kobieta zwalczyła! Dawniej baliście się jednej kobiety, to bójta się teraz 20,000 kobiet!”

Senatorka Bramowska zdołała zjednoczyć pod jednym sztandarem przeszło 20.000 kobiet, dla których każde jej słowo jest bezapelacyjnym rozkazem.

— Miałymy iść z pochodem do Częstochowy — uśmiecha się do wizji minionej przeszłości — po drodze żandarmi rzucili się na nas i chcieli nam wyrwać sztandar. Kobiety w płacz, ale ja nie bronię sztandaru, tylko mówię: „Uważajta, bo poslepniecie, jako ci husyci pod Częstochową”.

— I żandarmi ustąpili? — pytam z zainteresowaniem.

— Pewnie. Zmitygowali się, że Ślązaczki nie w ciemię bite, odebrałam im sztandar i poszłyśmy do Częstochowy.

Patrzę na silną, majestatyczną postać, na opalone ręce, złożone na brokatowej spódnicy. Umiała prze-

mawiać senatorka Bramowska i mądrość, zaczerpnięta ze Starego Testamentu, trafiała do przekonania nawet pruskim żandarmom! Lecz może w głębi duszy obawiali się tej niezwyklej kobiety, za którą stał cały Śląsk?

Pomimo skończonych 75 lat senatorka nie przestała pracować społecznie. Odwiedza często kobiety, tłumaczy i perswaduje, że trzeba należeć do polskich, a nie niemieckich organizacji, oponuje przeciw separatyzmowi.

— Chcą niektórzy, żeby rządili ino sami Ślązacy — narzeka. — Więc im powiadam, że Ślązacy, to takie same Polaki...

Jej twierdzenia nie są gołosłowne. Popierają je przypowieści, cytaty z Pisma Świętego, które łatwiej znajdują drogę do serc wieśniaczych, niż szumne, lecz zimne frazesy „uczonych” mówców.

Ci, którzy dawniej znali senatorkę Bramowską, pracującą ciężko na roli, wychowującą 3 synów i opiekującą się mężem - inwalidą, twierdzą, że zaszczyty i ordery nie zmieniły jej. Dawniej słuchały jej wszystkie śląskie kobiety. Tem bardziej dzisiaj są posłuszne głosowi swojej przewodniczki, która zasiada w Senacie, chociaż jak twierdzi „referatu tam nie miała, ino same zaczepki”. Lecz sama pani Bramowska pozostała tą samą prostą, silną kobietą, która jako młoda dziewczyna nosiła kartki wyborcze do kopalni...  
*St. Osińska.*



Wycieczka Ślązaczek z senatorką Bramowską na czele u Pani Prezydentowej na Zamku.



# Wystawy szkół rękodzielniczych

## II Miejska Szkoła Rękodzielnicza im. N. Żmichowskiej

Wystawa ta, pod tytułem „polski strój nad polskie morze”, miała na celu pokaz szeregu modeli stworzonych przez uczennice szkoły rękodzielniczej, modeli o charakterze „polskim”.



Piżama plażowa.

Każdy wysiłek, dążący do usamodzielnienia się, oswobodzenia od obcych wpływów i stwierdzenia samowystarczalności, jest godny pochwały, ale są dziedziny, w których zaznaczenie swojej narodowości jest zbyt ważne. Jeżeli chodzi o cechy „polskie” w stroju, to będą dla nas jedynie kostjумы narodowe, jak kontusze, żupany, konfederatki, w

ubiorach wiejskich sukmany, gorsety, rozmaite upięcia chustek, kształty czepków i t. d. Te wszystkie „kroje narodowe” minęły i wygasły wraz ze swoją epoką, i dzisiaj stosowanie tych dawnych form do mody jest niepotrzebne.

Czyż suknię z organdy w falbanki, jaką lansuje każdy żurnal paryski, można nazwać „polską”?

A kostjумы z żakietami trzyczwierciowymi, a piżamy z barwnymi stanikami, a marynarskie, międzynarodowe ubranie na łódkę, czy okręt, w czemkolwiek zaznaczy swoją polskość i wyraźnym charakterem narodowościowym odetnie się od strojów zrobionych z żurnali zagranicznych? Konfederatka, czapka plażowa stać się może zawsze, o ile siłą nagniemy ten kształt dawny do potrzeb dzisiejszych, ale czapka ta nie będzie ani zbyt wygodna, ani nawet ładna.

Wszystkie te wyżej wymienione modele zrobione były z krajowego płótna, zdobione lnianymi nićmi i surowiec, a nie krój i forma stanowiły w nich ten element polskości. Ładne worki i parasolki plażowe dopełniły całość ekwipunku nad morze. Jako dekorację tych strojów użyto albo malowania, albo haftu.

Bielizniarstwo dało nam przegląd rzeczy dobrze skomponowanych i starannie wykonanych, w dziale haftów kilka eksponatów wyróżniało się ładnym rysunkiem i doбором szlachetnych barw, całość jednak tego działu kompozycyjnie wy-



Kapelusz i parasółka plażowa.



Ładny model sukni letniej.

kazywała pewne przeładowanie ornamentami.

Z całej wystawy na największe uznanie zasługuje dział fryzjerski.



Kostjum marynarski.

Niezmiernie ciekawe głowy drewniane z plastycznie zrobionymi uczesaniem z papieru i wiórów dają nam bardzo interesujący przegląd fryzur stylowych, z dawnych epok i nowoczesnych. Kurs ten, prowadzony przez panią Sigmundową, wyróżnia się na wystawie mocnym, indywidualnym i bardzo nieprzeciętnym charakterem.

Jadwiga Korzeniowska.



Czapka plażowa.



## Rodzinne pogotowie ratunkowe

Do zamierzchłej przeszłości należy ta epoka, kiedy radjo było rozrywką kobiety, która miała za dużo czasu. Dziś, przeciwnie, posługuje się radjem ta kobieta, która mało ma czasu, a jeszcze mniej pieniędzy. Dawniej taka szara pracownica, taka zaharowana po uszy matka i pani domu, która naprawdę *panuje* tylko nad martwymi rzeczami, a wszystkim żywym istotom w domu *służy* od rana do wieczora, była czemś w rodzaju parjaski, na zawsze odciętej od świata.

Koncert, teatr, odczyt? Ach, jakżeby rada była oderwać się na kilka godzin od grzaskiej rzeczywistości, która wciągała ją, jak trzęsawisko, i na zawsze topiła w otchłani codziennych drobiazgów, przenieść się w inny świat, świat pięknej urody, albo wzmożonego życia intelektualnego.

Ale gdyby nawet były pieniądze na kupno biletu, to skąd wziąć elegancką suknię, jak zdobyć się na dobrego fryzjera, na manicure, na wytworne obuwie, na nową torebkę, na te wszystkie czarujące drobiazgi, których brak w dotkliwy sposób sygnalizuje fatalne samopoczucie.

A ze świadomością, że się wygląda źle, nieelegancko, nieinteresująco, żadna kobieta nie pójdzie tam, gdzie się idzie, żeby oglądać innych i samej być widzianą.

Więc kobieta zostawała w domu z goryczą w sercu i z poczuciem głębokiej krzywdy.

A dziś? Dziś, gdy chce posłuchać koncertu, nie zaczyna od wybierania najpiękniejszej toalety w szafie, tylko od wyboru najwygodniejszego miejsca i najmniej krępującej sukni. Otulona w szlafrok lub piżamę wciska się w zaciszny kątek otomany lub tapczana i, ze słuchawkami na uszach, jakby w srebrnej przepasce Diany - łowczyni, poluje na dźwięki, płynące z oddali.

I nie czuje się już wyrzuconą poza nawias życia. Przeciwnie! Dzięki radjo utrzymuje stały kontakt z całym światem. Słucha przemówienia Roosevelta za oceanem, uczestniczy w przygodach naszej ekspedycji polarnej na wyspie Niedźwiedziej, asystuje rewji trzeciomajowej, świętu morza, konkursom hipicznym, meczom tenisowym i t. p.

Przykuta do miejskich dusznych murów, może słyszeć śpiew słowika w odludnym parku. Unieruchomiona na zapadłej prowincji, przenosi się uchem w gwarne środowisko stołecznego dancingu. Pozbawiona



intelektualnych rozrywek, lub możliwości dokształcania się, czasem prosto do niego należycie nieprzygotowana lub za leniwa, żeby zmusić się do pracy nad sobą, w krótkich radjowych odczytach i feljetonach znajdzie bodziec i źródło wiedzy, nie sięgając nawet po encyklopedję.

O tem, że radja słuchać można przy wszelkiej domowej robocie, wie już dziś każda kobieta. Ale zapewne nie zdaje sobie sprawy, ani ona, ani jej otoczenie, do jakiego stopnia radjo (rzecz prosta racjonalnie stosowane) wpływa dodatnio na uspokojenie nerwów.

Kobieta zaśluchana nie może ani się irytować, ani niepokoić, ani spieszyć. Muzyka wciąga ją w swój rytm zewnętrzny, wyznaczając jednocześnie wewnętrzny rytm jej życia. Oddala ją od powszedniości i po spolitości, zbliża do niej piękno, pogodę i radość życia. Każę jej pulsom bić zgodnie z tętnem wszechświata.

Radjo, to życie ułatwione i uskrzydłone zarazem. Radjo zdążyło już wrosnąć w nasze życie. Nowoczesna kultura wbudowała je w nasz dom, uczyniła je jego częścią organiczną, podobnie jak przewody elektryczne, rury wodociągowe i gazowe.

Radjo, to na naszym terenie domowym ekspozytura wszechświata, luneta rozjaśniająca i zbliżająca kształty dalekie i zatarte.

A wreszcie radjo — to pogotowie ratunkowe w momentach wysokiego napięcia. Ileż to razy nadszła burzą domową rozproszyła arja z Madame Butterfly, której koniecznie trzeba było wysłuchać, ileż to razy Szczepko i Tońko są konduktorem, odprowadzającym nadmiar elektryczności temperamentów rodzinnych...

Dwoje ludzi, choćby zażarci byli na siebie jak lwy, z chwilą, gdy nałożą słuchawki stają się podobni do łagodnych baranków.

S. O. P.



# Z ubiegłego tygodnia

*Pe straszliwej zbrodni. — O poskromieniu destrukcji. — Ostre środki. — Wspomnienia wydarzeń przesłonięte mgłą. — Rozmowy między Hitlerem a Mussolinim. — Sporo niejasności w „wyjaśnieniach”.* — — — — —

Pod wrażeniem straszliwej zbrodni podchodzimy do wydarzeń minionego tygodnia. Zamordowanie naszego ministra spraw wewnętrznych ś. p. Generała Bronisława Pierackiego jest bowiem wstrząsem, nie dającym się tak łatwo opanować. Reakcja uczuciowa — głęboki żal po Człowieku, którego wielkie wartości osobiste wzbogacały twórczy wysiłek naszego młodego państwa — łączy się z natychmiastowym odruchem przeciw zacząjonym siłom destrukcyjnym, zagrażającym porządkowi.

Te właśnie nieobliczalne elementy, posługujące się skrytobójczymi metodami, trzeba wreszcie poskromić, nie ociągając się dłużej przed użyciem kategoriycznych środków. Do tej pory kierował się rząd polski łagodnością i wyrozumiałością, ufając przewadze dodatnich czynników w narodzie. Teraz jednak okazała się konieczność wyodrębnienia złych, zbrodniczych żywiołów, wyrzucenia ich poza nawias społeczeństwa. Stać się więc musi to, czego dotąd nie chciał stosować rząd wobec niesfornych obywateli państwa, stać się musi ta rzecz najprzykrzejsza, że trzeba będzie użyć siły, sięgnąć do środków najostrzejszych. Chodzi tu jednak o obronę przed czynną już niepoczytalnością. Obozy izolacyjne będą musiały spełnić to zadanie oczyszczające i segregujące. Któż jednak wątpi, że ta ostateczność jest przynębiającym rezultatem warcholstwa, kulminującego w zbrodni?

Skupieni uczuciem i myślą przy tragicznym fakcie, z trudem sięgamy do innych wydarzeń ubiegłych dni. Wydaje nam się,

że wszystko inne stało się mniej ważne, czujemy się, jak w domu żaloby, odosobnieni, oddani tylko własnym smutkom. Trzeba sobie jednak przypomnieć, że bieg życia jest niepowstrzymany i że łagodna ręka bogini mądrości odgarnie nam włosy z czoła, jak Achillesowi, a z gniewnych oczu zetrze mgłę. Narazie jednak, jak przez mgłę, wspominamy miłą wizytę belgijskiego gościa, burmistrza Maxa, który przyjechał do nas z pozdrowieniem od kraju przyjacielskiego i przypomniał nam wysoką cenę bohaterstwa. Nie zdążyliśmy też rozważyć sobie odwiedzin pana Goebbelsa i wytłumaczyć dla siebie samych sensacji tego faktu. Możliwy powiedzieć, że sensacyjność przemian w dziedzinie polityki spada na nas z nagłością efektowną i zadziwiającą.

Wrócić nam więc trzeba do czujności, nie spuszczałej z oka tego, co się dzieje, wrócić do uczestnictwa z rozwagą, jasnością myśli, pewnością pociągnięć. Rozmowy Hitlera z Mussolinim są bowiem aktualnością polityczną dużej wagi dla sprawy europejskiego pokoju. Jeżeli jeszcze nie można zreasumować wyniku tych rozmów, to tyle już da się z nich wywnioskować, że pewne zagadnienia wyjaśniają się, a nawet i wyglądają. Za cenę zrzeczenia się Anshlusu, Niemcy uzyskają równouprawnienie zbrojeń. Mussolini ma nadzieję doprowadzić do skutku swoje medjatorstwo i Niemcy wrócą do Ligi Narodów. Zaczem spodziewać się można niejakiego porozumienia między Francją a Niemcami. Powraca też poroniona koncepcja paktu czterech. W tych „wyjaśnieniach” na horyzoncie politycznym jest jednak sporo niejasności. Na dnie zostaje osad nieszczerých intencji i do czasu stłumionych popędów.

H. N.

---

## Letnie premje dla czytelniczek „BLUSZCZU”

Uważając, że najlepszą PROPAGANDĘ pisma mogą i powinny prowadzić jego CZYTELNICZKI i chcąc je do tej akcji zachęcić, obmyśliliśmy dla nich na sezon letni następujące PREMJE:

### I

każdej Prenumeratorce dotychczasowej, która zjedna „Bluszczowi” jedną NOWĄ PRENUMERATORKĘ, opłacając ZGÓRY PRENUMERATĘ KWARTALNĄ, przyznamy premję w postaci KOMPLETU WYROBÓW PERFUMERYJNYCH FRYDERYKA PULSA wartości 5 złotych po cenie hurtowej, a mianowicie, do wyboru:

#### KOMPLET A.

Krem „Uroda” do pielęgnowania cery, flakon wody kolońskiej i 6 sztuk mydła kwiatowego.

albo

#### KOMPLET B.

Flakon wody kwiatowej, Krem udelikatniający i 3 mydła kwiatowe większe.

### II

każda PIĄTA z dotychczasowych prenumeratorek „Bluszczu”, które wniosą ZGÓRY PRENUMERATĘ KWARTALNĄ, otrzyma niezależnie od poprzedniego taką samą premję.



# Wychowanie i szkoła



*Niech żyją wakacje!*

## Współżycie z dziećmi w czasie wakacji

W bilansie roku szkolnego owa pozycja nieporozumienia zajmuje dziś miejsce. „Nie mamy czasu“, jak to się coraz częściej słyszy, jako generalne wytłumaczenie wszelkich zaniedbań; nie mamy czasu na dzieci wogóle, a coś dopiero na współżycie z nimi. To wymaga bądź co bądź pewnej organizacji, a już co najmniej jakiegoś takiego pomysłu, o ile ma być lepszą formą współżycia. Trzeba się przecież do tego jako tako przygotować, nad samym sobą popracować, coś dobrego i mądrego od czasu do czasu przeczytać, ale przede wszystkim znaleźć czas na odtworzenie, na przypomnienie siebie, jakim się naprawdę było, mając lata swoich dzieci. To bodaj najpierwszy warunek umiejętności współżycia.

Jakimi się właśnie było i czego się od rodziców oczekiwało, co odwracało od nich, a co z nimi godziło, co było u nich miłe, a co nieznośne. Tak, tak, nie zakłamujmy się, powtarzając bezmyślnie „czcij ojca twego i matkę swoją“. Nie zakłamujmy się na temat tej czci bezwzględnej. Zresztą... Można przecież bardzo ludzi, w danym wypadku rodziców, czień, a wcale nie współżyć z nimi, nie rozumieć ich i nawet ich nie lubić i nie być przez nich lubianym i rozumianym. Herezja? Nie. Czy miłość rodzicielska i miłość dziecięca jest równoznaczna z faktem lubienia? Także nie. Dużo się o tem pisało i pisało.

Cudowne dzieła w rodzaju „Matka i syn“ Romain Rollanda, tyle powieści Balzaca i t. d., to przecież

wspaniałe studia psychologiczne na temat tego właśnie zagadnienia. A treścią i istotą współżycia jest właśnie „lubienie“, owa ciągła sympatja, serdeczna życzliwość, wyrozumiałość i zrozumienie.

Ryzykuję twierdzenie, że tego rodzaju stosunku pomiędzy rodzicami i dziećmi zbyt często się nie spotyka. Jednej z przyczyn tego należy upatrywać właśnie nie w krótkiej pamięci rodziców, jeśli chodzi o własną młodość i w fałszywej interpretacji wagi i znaczenia autorytetu.

Ciągle narzucanie siebie, jako „dobrego przykładu“, ciągle narzucanie własnej osobowości, jakże odmiennej niekiedy pod względem indywidualnym, osobowości syna, czy córki, jest powolnym zabijaniem możliwości współżycia.

To też przed okresem wspólnego wypoczynku wakacyjnego należałoby uczynić pewien bilans całorocznych błędów i odchyłeń od mądrej sztuki współżycia, wydobywszy się z miasta, owego coraz bardziej nieznośnego gniazda szarzyzny, standaryzowanej pseudokultury, snobizmu kawiarnianego, supremacji materializmu życiowego, a przede wszystkim przemocy mieszczańskiego światopoglądu.

Coraz bardziej daje się zauważyć owo pragnienie ucieczki, pragnienie przygody w zetknięciu się z przyrodą. Tradycje Jana Jakóba Rousseau stają się znowu żywe i mocne. Przecież na tem tle rozwija się i potężnieje pęd krajoznawczy, idea obozów wszel-



kiego typu, od harcerskich począwszy, na campingach dla starszego pokolenia skończywszy. Na tem tle rozwija się ruch alpinistyczny, wyprawy w Andy i Himalaje, samotne bohaterskie wyprawy. Alain Gerbault ma już coraz częstszych naśladowców. Człowiek, o ile ma czas na poszukiwanie własnego człowieczeństwa, coraz częściej ucieka do bezpośredniości życia na łonie przyrody, do ludzi z gór, wsi i lasów, dlatego właśnie, że życie tych ludzi wolne jest od zatrutej atmosfery pseudokultury mieszczańskiej.

Ale tę świadomość istoty odpoczynku posiadała u nas mniejszość i to mniejszość znakomita. Ogół garnie się na t. zw. letniska, do uzdrowisk, tych możliwie najmniejszych, miejscowości kąpielowych, nadmorskich, a tam czuje się dobrze tylko w tłoku. Nie zmienia absolutnie trybu życia, zabiera ze sobą na lato wszystkie kłopoty, zabiegi, troski, szuka tych samych rozrywek i wrażeń, jakie ma przez cały rok w mieście.

Nawet nie umie rozkoszować się największym dobrem tych letnich miesięcy — powietrzem.

Gra w brydża w dusznych salach, poci się na dancingach, czyta te same gazety, słucha odwiecznych przebojów, obmawia tych samych ludzi i t. d.

Na skromniejszych letniskach przesiaduje na stacjach dworcowych przed każdym odchodzącym i przychodzącym pociągiem, przesiaduje na wspólnych wérandach, słuchając rozklekotanego patefonu, wydaje te same niezmiennie dyspozycje nieodłączonej niewolnicy, idzie na wspólny spacer, i nie widzi drzew, nieba, rosy, słońca, ptaków.

Dostrzega, ale nie widzi, nie wkłada żadnej pracy aby w mózgu i w duszy utrwalić widziany obraz.

A dzieci? Jakże wyglądają dzieci, czy młodzież z rodzicami na wsi?

Tak samo, jak w mieście. Ani na jotę inaczej Ach, nie, przepraszam, inaczej, bo gorzej.

Cięży nad nimi potworna nuda i zmora nakazów i zakazów. „Przebierz się“, „uważaj, bo się możesz utopić“, „nie idź tam sam, bo jeszcze coś ci się stanie“, „może pójdziesz ze mną na ten pociąg“, „ubierz się cieplej“, „posiedź tu sobie z książką, ja tylko skończę tego robra“ i t. d.

Mieszczańskość stosunku do wsi, do dziecka wylazi ze wszystkich szczebli rodzicielskiej przyjaźni.

To też wielka ucieczka młodzieży na obozy jest może zapowiedzią lepszej przyszłości. Lepszej przyszłości pod tym względem, że oni, ci dzisiejsi z obozów harcerskich, przysposobienia, wychowania fizycznego i t. d. inaczej ze swymi dziećmi kiedyś odpoczywać będą.

Będą przede wszystkim razem w górach, czy nad morzem, na wsi, czy na campingu, a nie *obok siebie*.

Będą razem najintensywniej przeżywać nieporównane emocje, jakie daje wschód słońca, niebo gwiazdiste, wielokilometrowy wspólny marsz, życie pod namiotem i wycieczki kajakiem. Będą razem i będą blisko, przemierzając śliczną własną ziemię z plecakiem i kijem w ręce. Będą razem i będą blisko, stowarzyszeni we wspólnym zachwycie nad boskim cudem, idącym od gór, lasu, morza, jeziora. Będą rozmawiać o tem, co widzą, będą rozmawiać ze sobą o sobie. Zatrą się różnice wieku, rozwieje w różanej mgie wschodu i niebieskiej smudze wieczora nuda autorytetu. Będzie wspólna, najlepsza, najistotniejsza radość życia u życia tego źródła — pachnącej słońcem i ziołami ziemi. Będzie wspólne, proste, bezpośrednio fizyczne poczucie własnej istoty, poczucie siły żywotnej i woli przewyciężenia całorocznego niekiedy bezruchu. Będzie początkiem zmiany upodobań i w mieście. Lepszych niedziel, spędzanych nie



Po ostatniej lekcji.



w mieszczańskich, strasznych mieszkaniach, nie przy brydżu, nie przy natrętnej muzyce, ale za miastem, w lesie, w polu. Zagnieździ się w człowieku tęsknota do zapachu koszonej trawy i świeżego siana, do wiatru od pola, do drgającego w słońcu powietrza i do słonecznych pasów w lesie. Wstąpi odwaga w niemężne dotąd serca.

Zwróć się ludzie z miast frontem do swoich rzek, upomną się o te rzeki, o dostęp do nich. Zaczną się

oszczędności na własne łodzie i kajaki. Nastąpi wyścig zbliżenia z przyrodą, tak jak przedtem był wyścig ucieczki od niej.

Kto wie, czy tych wszystkich cudów, graniczących wobec dzisiejszej niedoskonałej rzeczywistości z utopją, nie dokonają jedne wspólne wakacje, wspólne wakacje z synem i z córką w pogoni za wielką przygodą zjednoczenia z Naturą? Tedy spróbujmy!

Janina Strzelecka.

## Matka i syn

Krzyś błakał się teraz bezradnie. Drzewa owocowe, o pniach obielonych skrzętnie ręką ogrodnika, szły przed nim w prawo i w lewo, trawa była gęsta i przetkana dmuchawcami.

Kluczył tu i tam, wlokąc z trudem niby to do cna utrudnione stopy, i wystawiając się raz po raz na palące słońce.

...Nadchodził oto kres wytrzymałości bohaterskiego trampa Old Shasterhanda. Bezkrętna prerja miała wyssać życie z jego piersi, z tej samej piersi, która tyle razy osłaniała skrzywdzonych i brała w siebie ciosy przeznaczone dla innych. Nie zdoła zwalczyć piętrzących się przeszkód. Legnie tu na obcej nienawistnej ziemi.

Szczupłe, nagie ciało chłopca, opalone na kolor miedzi, chwiała się w takt posępnych myśli, a wąska twarzyczka jaśniała niezłomnym męstwem i determinacją... Tak. Inny koniec nie mógł spotkać bohatera. Musiał pozostać na zawsze wśród niezmiernych przestrzeni. Nie mógł powrócić do społeczeństwa, które go tak haniebnie odrzuciło o siebie. Nie dane mu było dożyć chwili rehabilitacji.

Kolczasta gałązka agrestu, na którą nadeptał w przejściu bosą stopą, wstrzymała na chwilę wędrówkę i wzbogaciła tok myśli.

...Ach. Old Shasterhand nie od da tak łatwo życia. Kolce akacjowe drań na nim odzież, ranią nogi, z których już dawno opadły więzienne chodaki. Ale siła nieznana pcha go naprzód. Naprzód, naprzód.

Chłopiec zatrzymał się zmęczony i zlany potem. Czarne majteczki kąpielowe, przytrzymane szerokim skórzanym paskiem, ściśle przylegały do spotniałego ciała. Czarne włosy opadały na czoło, a z pod ich gęstwiny świeciły surowo i wytrwale jasne oczy.

Stał na krańcu ogrodu, skąd nie było widać domu. Kończyły się tu rzędy jabłoni, wyrastały natomiast grupami świerki, spływające łagodnym zbroczem w dolinie. Gdyby wspiąć się na jedno z drzew (Krzyś wiedział o tem doskonale), możnaby

ujrzeć przed sobą jedną zieloną lawinę świerkowych czubów. Ani śladu osiedla ludzkiego, gdy się patrzyło wprost. Wprawdzie przy zwróceniu głowy w lewo widać było nasyp kolejowy i skrawek dachu na domku droźnika, ale Krzyś starał się o tem zapomnieć. Jego Old Shasterhand nie mógł domyśleć się, że tak blisko są ludzie. Musiał bowiem zginać.

Chłopiec westchnął i zamierzał już nurknać w zarośla, gdy nagle usłyszał szelest, obejrzał się i zobaczył przed sobą nieznanego człowieka.

Tramp! — pomyślał, patrząc na zakurzone buciska i rozchlestaną na brązowej piersi odzież.

— Kto pan jest — zapytał zwięźle, bowiem opanowanie postawy i lakoniczność mowy były to cechy, które najwyżej ceniło się w Królestwie dzikiej przygody.

— No kto? złodziej, rabuś, bandyta.

— Nie radzę tylko panu próbować u nas, bo to się i tak nie uda, chociaż mieszkamy tu tylko we dwoje. Chcieli tu do nas zachodzić jedni tacy w nocy o dwunastej. I nic z tego nie wyszło. Rex usłyszał chrobot przy oknie, zaszczekał, mama zeszła z rewolwerem, ja z łukiem i zwiali. Nawet żałowałem.

— Jabym może nie zwiał przed maminy rewolwerem. Ale co tam o tem. Podróżny jestem, zmęczyłem się i pić się chce.

Krzyś spojrział na jego szeroką ogorzałą twarz o wydatnych kościach policzkowych i jasnych rozlających się po czole brwiach. Podał mu się. Nawet zapach jego spoczonego ciała był jakiś miły.

Podróżny rozsiadł się na trawie i spojrział z dołu na chłopca.

— Myślisz, że dziad jestem. Nie żebyś wiedział, że nie poproszonem, tylko sobie dla zdrowia, dla sportu piechty chodzę. Niczego nie potrzebuję. Jeszcze ciebie poczęstuję śniadaniem.

Wyciągnął z kieszeni pajdę razowego chleba, rozłamał na pół i podawał Krzysiu na szerokiej brązowej dłoni.

Krzyś porwał się.

— Dobrze, ja tu z panem zjem śniadanie. Tylko przyniosę z domu coś do tego chleba. Ser, kiełbasy.

— O, kiełbasę.

— I sardynki stoją tam z boku.

— Może piwa butelczynę?

— Piwa nie mamy, ale w szpiżarni stoi lemoniada. Już ja się postaram jak najlepiej.

— Postaraj się, chłopyszk.

— Usiądziemy tu, a pan mi opowie, jak to się wędruje.

Pani Elżbieta siedziała przed stalugami w łagodnym i drżącym cieniu brzozy. Miała przed sobą zwisające nisko długie i wiotkie frendzle brzożowe, za którymi jaśniała w słońcu mała różowiejąca jabłonka. Dalej grunt obrywał się raptownie i znikał w głębokim parowie, wobec czego to drobne zalęknione i splonione cudo oddawało się całe błękitowi nieba.

Gdy Elżbieta patrzyła na nią z pośród lśniących liści, uczuwała dreszcz zachwytu. Odrzucała na jedno mgnienie oka człowieczeństwo i stapała się w jedno z drzewem. Myślała, że to ją przewiewają nawskroś łagodne poruszenia powietrza i ku niej dają pszczoły. Że ona to rośnie nad przepaścią zespolona z ziemią i z błękitem.

Uczucia, które ją przenikały, były tak silne, że chwilami sądziła, że wyszeptuje z głębi największej szczerości słowa pozdrowienia dla wiatru, dla wody, dla powietrza.

Nagle zobaczyła Krzysia, zbiegającego śpiesznie ze stopni werandy. Zawołała go. Złożył na trawie tłumoczek, który niósł pod pachą i podszedł do niej.

Przygarnęła go jak mogła najtkliwiej, czując poprzez lekką tkaninę sukni mocne bicie jego malutkiego serca. Ręką wyczuwała delikatne zębra, gładziła gorącą skórę. Był taki szczupły, drobny, opalony a kipiące życie aż przelewało się w tej kruchej łupince.

Pokazała mu bielejący na szarem płótnie szkic niewyraźny, zarys omalaty swej wizji.

— Spójrz syneczku!



— Ładne! — mruknął z kurtua-  
zją.

Patrzyła na jego urocze czoło,  
wychylające się z pod jedwabistej  
chmury włosów, na oczy pełne po-  
wagi, błakające się po płótnie, na  
drobne uparte usta, zgięte w tej  
chwili ukośnym uśmiechem. Nie  
wiadomo dlaczego zapragnęła w tej  
chwili gorąco złączyć się z synem  
w adoracji dla piękna. Wprowadzić  
go w swój świat. Uprzysięgnąć mu  
tę czarodziejską krainę, w której  
ludzie, zwierzęta, drzewa, obłoki,  
kamienie są nieskończenie piękniej-  
sze niż ich ziemskie odpowiedniki.  
Iśnią taką świeżością, jakby przed  
chwilą ześlizgnęło się z nich spoj-  
rzenie Boże, Prabyty, praidee. Wzo-  
ry istniejących na ziemi kształtów.

— Krzysiu, syneczku, zostań ze  
mną na chwilę.

Syn poruszył się niespokojnie, ale  
po rycersku oględny i opanowany  
stał przy jej boku.

Ach, dobać się, co myśli, jak  
czuje i czy jego chłonna wszystko  
chciwie świata źrenice potrafią wi-  
dzieć niewidzialność.

Powiedziała nieśmiało:

— Poczekaj... Spójrz na to drzew-  
ko, uważnie... Patrzysz?

— No, patrzę!

— Dobrze... A teraz — posłuchaj.  
Ja ci opowiem wszystko, co sobie  
myślę, gdy patrzę na nie. To bę-  
dzie jak bajka, ale jednocześnie bę-  
dzie prawdą...

Galanterja i rycerskość prysnęły.

Stanowczym ruchem usunął jej  
ramię.

— Nie mogę, mam. Mam bardzo  
ważne sprawy. Swoje sprawy.

I jakby wyzwolony już od jej  
wpływu, dziki i rozogniony, wydał  
nagle okrzyk przeraźliwy i chwy-  
ciwszy w przelocie swe zawiniątko,  
pomknął — żywa lecąca złota strza-  
ła — ku swej bijącej surową wo-  
nią życia — przegodzie.

*Zofja Sikorska-Bogusławska.*

## Wyjazd na wieś

— Adasiu — wołam do drugiego  
pokoju — co czujesz, kiedy pomy-  
ślisz, że jutro wyjeżdżamy do Sa-  
downego?

Mój mały braciszek podchodzi i  
opiera się o szafę. Ma dopiero dwa  
naście lat, ale jest nonszalancki, sil-  
ny, grzeczny i nieobliczalny, jak  
prawdziwy mężczyzna.

— Myślę, że dzieci bardzo się  
martwią, kiedy wyjeżdżają na wieś.  
Tak się oddalają od szkoły. Takie  
piękne dni, a one nie będą mogły  
odrabiać lekcji, tylko będą musia-  
ły biegać na słońcu. Cały dzień bę-  
dą spędzały na zabawach, w lesie,  
nad rzeką, huśtawce. Nie będą mo-  
gły tak przyjemnie sobie siedzieć



**KOMOL**  
18 ODCIENI NATURALNYCH  
FARBUE SIWE WŁOSY  
W  
**15**  
MINUT  
Gen. Reprezent na Polskę  
i w. m. Gdańsk  
D/H. TEODOR SAKOWSKI  
Warszawa, Szpitalna 5.  
tel. 230.77

przy stole, nad zeszytami i książka-  
mi.

Mówi to wszystko tak poważnie,  
że trudno mi się zorientować, iż jest  
to ironja.

Ale dopiero na drugi dzień była  
prawdziwa radość. Adaś obudził  
się do pakowania rzeczy: futbolów-  
ka, pudełko z markami, młotek, kil-  
ka gwoździ, obcęgi, piłka żelazna  
oraz własnej roboty: drewniane łód-  
ki, tomahawk, nóż „indyjski” —  
wszystko to poszło do jednej skrzy-  
ni. Potem Adaś pobiegł do Władka  
i do południa zafatwiali jakies bar-  
dzo ważne sprawy. Dopiero o dru-  
giej otworzyły się z trzaskiem drzwi  
i Adaś wbiegł, zdyszany, krzyząc:

— Fura! Fura już jest! Prędko,  
prędko, fura!

Był tak zajęty i zrozpaczony, jak-  
by miał sam jeden w ciągu dwóch  
minut powynosić wszystkie kufry  
i kosze. Na szczęście i Marysia zja-  
wiła się tym razem wpore. Mary-  
sia jest poważniejsza od Adasia —  
dostała promocję do siódmej. Wy-  
jazd na wieś ma dla niej pewną do-  
zę goryczy, ponieważ musi się roz-  
stać z nierozłączną przyjaciółką —  
Zosią.

Prawie przez całą godzinę dwa  
konie od furmanki stały spokojnie,  
z głowami zanurzonemi w workach,  
po schodach przewalały się ciężkie  
kufry, dom pełen był niepokoju i  
niecierplivej radości. A Marysia  
z Zosią dopowiadały sobie ostatnie  
zwierzenia.

Schodzimy do dorożki. Co za za-  
męt! Nie możemy się rozlokować i  
pomieścić, jakby nas było strasznie  
dużo. Jazda dorożką, kupowanie bi-  
letów i ostateczne wprowadzenie  
się do wagonu — wszystko to dzieje  
się wprost nieznośnie szybko. Na-  
reszcie dzieci zajmują miejsca przy  
oknie. Pociąg rusza. Z początku wol-  
no, potem coraz prędzej.

Opuszczamy dworzec i jeszcze ca-  
ły kompleks szyn i wreszcie wydo-

stajemy się na wolność. Coś po-  
dobnego do wsi — pojedyncze domki  
i drzewa, za brudne jednak i zabar-  
dzo podmiejskie na to, aby to na-  
zwać wsią. Dopiero po dłuższym  
czasie wjeżdżamy w obszary świe-  
żych, zielonych, słonecznych pól.  
Jak dobrze jest stać w oknie, na-  
przeciw prądu powietrza, hartują-  
cego, prowokującego siłę i radość.

Pod wagonem lecą pstre paski zie-  
mi, prędko, aż się w głowie kręci.  
A dalej kołują wolno, wielkie, zie-  
lone równiny, pola zbożowe. Cza-  
sem tuż pod oknem przejeżdża kępa  
czerwonych maków lub szafirowych  
chabrów, staw z białemi głowami ne-  
nufarów. Czasem o framugę otrze  
się iglasta gałąź sosny. Co pewien  
czas pociąg zwalnia, przystaje —  
stacja. Jeszcze nie tu, jeszcze nie  
tu.

Ale nareszcie przychodzi taka, że  
właśnie jest tu. W połochu wy-  
chodzimy na peron. Wyrzucamy  
rzeczy. Czarna lokomotywa dymi,  
zgrzyta, odjeżdża: — fach, fach,  
fach! — Za siatką peronu — fur-  
manki.

Wsiadamy i w kilka minut potem  
jesteśmy już w drewnianym domku  
o ścianach, pomalowanych wewnątrz  
i nazewnątrz jasno niebiesko. Do-  
okoła domu rosną sosny. Niedaleko sze-  
leści strumyk. Ziemia pachnie wil-  
gocią i zielonemi szyszkami. To jest  
właśnie to nieznanne. W szkole nazy-  
wa się to „H. O”, „P i R” lub „pra-  
wo grawitacji”, a tu przychodzi sa-  
mo, daje się dotknąć zmysłami,  
obiąć indywidualnym spojrzeniem.

Zapada mrok, cisza jest taka wiel-  
ka, aż dzwoni w uszach. Jutro, kie-  
dy się dzieci obudzą, przeżyją nie-  
samowity akt zdziwienia, zanim so-  
bie wszystko przypomną. Będzie  
okno, pełne nieba, słońca, świergo-  
tania ptaków, i zielonych gałęzi, i te  
jasno niebieskie, onieśmielające  
obce ściany. Ale teraz jest cisza,  
zmrok i coś takiego, podobnego do  
smutku: Tak to dziwnie pachnie,  
mokra, chłodno, sosnowo.

*Stanisława Szmaper.*

W czasie upałów zanika apetyt, gdyż or-  
ganizm domaga się spożycia czegoś  
orzeźwiającego. Jak łatwo jednak popełnić  
błąd w odżywianiu i narazić się na nie-  
dyspozycję a tem samem na przytłumienie  
uciech wiosennych. Jako dobre i łatwo-  
strawne desery są budynie Oetkera, poda-  
wane w różnych odmianach. Mają one  
wielką wartość odżywczą i wybornie sma-  
kują. Spożywając je, można z łatwością  
na czem innem oszczędzić. W dni upalne  
wskazane są Dra Oetkera „czerwona kasz-  
ka” i „ambrozja”, delikatne galaretki, któ-  
rych przyrządzenie nie wymaga już  
żadnych dodatków.





## Nasz lekarz

### Higiena wycieczek pieszych

Nadchodzące lato jest sezonem wycieczek. Może najbardziej ulubioną formą są wycieczki piesze; hartują one ciało, dają szereg wrażeń, ćwiczą zmysł obserwacji i zmysł piękna. Jako lekarz, poczuwam się do dania pewnych rad, dlatego, że niejednokrotnie zauważyłam szereg błędów i wykroczeń przeciw higienie w organizacji i przeprowadzaniu wycieczek, co sprawia, że wycieczka zamiast być miłą i zdrową rozrywką, staje się męczącą a czasami nawet szkodliwą dla uczestników.

Do należytego zorganizowania wycieczki należy przede wszystkim dokładne obmyślenie planu zarówno w ogólnych jego liniach, jak i w szczegółach. Należy to do *kierownika* wycieczki, bo taki być musi, jeżeli nie formalny to istotny; jego (jej) obowiązkiem jest nakreślić sobie cel, nie nadmierny w stosunku do sił uczestników wycieczki, obmyśleć i obliczyć wszystkie szczegóły (*dzienna ilość marszu, noclegi i t. d.*), dopilnować, by wycieczka zaopatrzona była w tak niezbędne *przyrzady*, jak *mapy, busole*, na wycieczkach wysokogórskich przewodniki i mapy wysokogórskie.

Plan powinien być dokładnie omówiony ze wszystkimi członkami wycieczki, by każdy z nich mógł w razie potrzeby działać samodzielnie.

Ważnym jest przy układaniu planu, że w każdym dniu powinna być pozostawiona pewna *rezerva czasu*, która ma wynosić minimum 4 godziny, gdyż zajść mogą pewne nieprzewidziane okoliczności (skręcenie

lub otarcie nogi i t. p.); nie uwzględnienie tej rezerwy czasu może narazić na duże komplikacje, a w wycieczkach wysokogórskich jest nawet bardzo groźne.

Nie wolno również nakreślać sobie zbyt przesadnych daleko idących celów marszu.

Na tem nie ograniczają się czynności przygotowawcze; musi być jeszcze skontrolowany *ekwipunek* wszystkich członków wycieczki. Ekwipunek ten powinien być dostosowany do celu (inny jest przy wycieczkach wysokogórskich, inny przy płaskich). Powinien on zabezpieczać od tak częstych niespodzianek, jakie daje nasz klimat, dalej powinien być lekki co do swej wagi, gdyż noszenie jest uciążliwe i każdy gram ma swoje znaczenie.

Z ekwipunku najważniejsze jest *ubranie*. A więc *buty* muszą być solidne, mocne, z dobrego, wytrwałego nieprzemakalnego materiału, szyte przez specjalnego szewca, nigdy fabryczne; muszą być już przedtem wypróbowane na mniejszych wycieczkach. Włożenie nowych butów jest lekkomyślnością, która może zepsuć wycieczkę i danej osobie i wszystkim innym.

Na kilka dni przed wycieczką należy natłuścić buty łącznie z podeszwami, mamy do tego celu rozmaite tłuszcze, które w sklepach sportowych łatwo można dostać. Nie wolno nigdy na wycieczkę wybierać się *w pantofelkach na wysokich obcasach*. Na wycieczki wysokogórskie buty muszą być specjalnie okute; przetrzec muszą przed używaniem innego rodzaju butów, np. narciarskich, gdyż grozi to niebezpieczeństwem życia; dowodzą tego liczne realne wypadki w górach choćby z obecnego roku. Np. śmiertelny wypadek turysty, który zleciał z Niebieskiej Turni,



a przyczyną tego było poślizgnięcie się, — turysta ten miał narciarskie buty. Wymownym również jest wypadek poślizgnięcia się turystki pod Koszyską, gdzie przyczyną wypadku było włożenie zwykłych pantofli o wysokich obcasach.

Oprócz butów zwykłych należy mieć lekkie pantofle, które wkłada się podczas biwaku i odpoczynku.

Sportowe obuwie wymaga włożenia pod nie na nogę, grubych wełnianych *skarpetek*, które dokładnie chronią nogę przed otarciem. Wełna ma tę właściwość, że pot przenika przez nią i nie maceruje skóry. Przed włożeniem obuwia nogi powinny być bardzo dokładnie natłuszczone, najlepiej łożem kozłowym.

Ubranie powinno odpowiadać następującym warunkom: musi być lekkie, nie krępować ruchów i chronić przed ewentualnymi zmianami temperatury. A więc sportowa koszula, lekka wełniana spódniczka (w wycieczkach wysokogórskich wełniane spodnie), lekki sweter z najlepszej wełny (wielbłądziej) i lekki wełniany płaszcz, to może najlepszy ekwipunek kobiety. Nieprzemakalny gumowy płaszcz jest niepraktyczny, gdyż na skutek dłuższego deszczu przemoknie on i tak, a maszerowanie w nim jest ogromnie uciążliwe wskutek tego, że nie przepuszcza on transpiracji. Lepsze są gumowe cienkie peleryny z kapturem na głowę. Stokroć lepsza od płaszcza gumowego jest parasolka, którą wygodnie można zmieścić w plecaku, zwłaszcza, jeżeli jest składana. Niewiadomo dlaczego parasolka, która jest bardzo praktyczna, nie zdobyła sobie uznania wśród sportowców, którzy noszenie jej uważają za pewnego rodzaju „hańbę“.

O ile plan wycieczki przewiduje noclegi pod gołym niebem, ekwipunek musi być uzupełniony *namiotem*, *śpiworem*, względnie lekkim kocem wełnianym (z bardzo dobrej, lekkiej wełny). Jednak te rzeczy obciążają w znaczny sposób i dlatego lepiej robić plan wycieczki bez noclegów na powietrzu.

Do tego ekwipunku dodać należy *komplet rezerwowej bielizny* do przebrania się w razie zmoknięcia, *beret* i *rękawiczki*, szczególnie na wycieczkach wysokogórskich.

Do ekwipunku turystycznego właściwego należy przede wszystkim *plecak*. Musi on być zrobiony z bardzo dobrego płótna (drogi) i musi mieć bardzo szeroki pasek (ogromnie ważny szczegół). Na wycieczkę zabieramy również *maszynkę spirytusową*, względnie naftową do gotowania ciepłej strawy, *nóż* (najlepiej typu szwajcarskiego), *łyżkę*, *widelec*, *menażkę*, *ma-*

*Opowiedni strój i umiejętny transport zapasów umożliwiają wycieczkę pieszą nawet osobom starszym.*



*nierkę na wodę, kubek* oraz o ile możliwości *aluminjowe pudełko* na prowianty.

Jak należy się podczas wycieczki odżywiać? Organizm pracujący intensywnie fizycznie podczas wycieczki, potrzebuje znacznie więcej pożywienia, niż organizm będący w normalnych warunkach, i to przede wszystkim w postaci *węglowodanów* (cukier, chleb, kasze, jarzyn), gdyż te najłatwiej organizm spala i w pierwszej linii czerpie energię z ich spalania.

Minęły już te czasy, kiedy jedynym pożywieniem podczas wycieczki była sucha kielbasa i chleb z masłem. Dziś na wycieczkę zabieramy stosunkowo dość mało mięsa, a nasze jedzenie jest mniej więcej takie, jak normalnie, może z tym wyjątkiem, że trudno na wycieczkę zabierać tyle jarzyn, ile ich normalniejemy. Zabieramy więc kaszę, makaron, robiony w domu, konserwy, z których robimy zupy, mleko, (o ile go nie można w drodze dostać, to w postaci skondensowanej), dużo cukru, jarzyny (w miarę możliwości uzupełniamy, kupując w drodze), owoce suszone i świeże (pomarańcze, cytryny), tłuszcz (masło, boczek), nieco mięsa, no i herbatę, bez której wogóle nie można sobie wyobrazić wycieczki i której działanie ożywcze i podniecające jest nieocenione. Z zapasów tych będziemy mogli sobie przyrządzać smaczne posiłki, i jeżeli do naszego towarzystwa łaskawie dopuścimy panów, oni z chęcią i zamiłowaniem tem się zajmą, bo rzecz dziwna, podczas wycieczki męzczyzna lubi kucharzyć i robi to chętnie. Panie, jako słabsze, czas biwaku muszą zużyć na odpoczynek.

Pierwszy posiłek spożywamy przed wyruszeniem, musi być on dość obfity. Zwłaszcza w cukry i węglowodany. Jeżeli marsz jest krótki (do 20 km.), to główny posiłek powinien być po ukończeniu marszu dziennego, w każdym razie po przejściu 2/3 drogi. Inne krótkie, mniej obfite posiłki, w miarę apetytu mogą być zarządzane w czasie marszu.

*Higiena marszu.* Na wycieczce trzeba wstawać wcześniej, o godz. 5, najpóźniej 4 rano. Godzinę zajmuje nam umycie, ubranie i przygotowanie posiłku tak, że najpóźniej o godz. 4-ej względnie 5-ej rozpoczynamy marsz. Tempo marszu musi być powolne dostosowane do sił najsłabszych, (w terenie płaskim przeciętnie 4 km. na godzinę; marsz bardziej szybki niewspółmiernie wyczerpuje siły) równomierny i w miarę wznoszenia się terenu coraz powolniejszy). Na wycieczkach wysokogórskich tempo marszu jest bardzo powolne, a tem powolniejsze im większe różnice terenu mamy do pokonania. Pierwsza osoba marszu, nadająca tempo, powinna być najbardziej zrównoważona i mająca wprawę w prowadzeniu wycieczek. Co godzinę należy zarządzać przystanki 10 minutowe. Plan wycieczki powinien być tak ułożony, by główna praca dzienna była zrobiona do godziny 11-ej rano, to znaczy do tego czasu trzeba przejść minimum 2/3 drogi. O godz. 11-ej następuje 2—3 godzinny odpoczynek. Około godziny 2-ej marsz kontynuuje się dalej, aż do osiągnięcia celu tego dnia, który powinien być tak obliczony, by dotrzeć do niego koło godziny 4—5-ej wieczorem, o tej bowiem porze dobry, rozumnie umięjący zorganizować wycieczkę turysta osiąga swój cel i rozpoczyna się najprzyjemniejsza część wycieczki: biwak i gotowanie posiłku głównego.

Krótkie *odpoczynki* powinny wynosić około 10 minut, gdyż po tym czasie mięśnie sztywnieją i pokonanie tego wymaga dużo energii, zwłaszcza psychicznej. Najlepiej wypoczywa się leżąc, nogi powinny być wyprostowane i wzniesione lekko do góry, gdyż w tej pozycji następuje zwolnienie wszystkich mięśni i łatwiejszy odpływ krwi. Lekki masaż ud i podudzi jest bardzo wskazany i zmniejsza zmęczenie nóg.

Podczas marszu należy być ubraną bardzo lekko,



odzież powinna być rozpięta pod szyją celem łatwiejszego parowania potu. Najpóźniej o godz. 7-ej, 8-ej wieczorem uczestnicy wycieczki muszą spać. Zależnie od pogody, ewentualnych warunków miejscowych, warunków terenowych ten porządek może ulec pewnym zmianom, zawsze jednak muszą być dotrzymane dwa warunki:

1) rozpoczęcie wczesne marszu na to, by większą część drogi odbyć przed nastaniem gorąca, 2) koniec marszu dość wczesny, długi odpoczynek i zarezerwowana odpowiednia ilość snu.

Podczas marszu ogromnie ważną rzeczą jest *zapatrywanie organizmu w wodę*, i w tej sprawie panują u nas duże przesady.

Ile wody potrzebuje człowiek w marszu? Jak często powinien ją pić? Podczas marszu wypaca człowiek 1 litr wody na 10—12 kilometrów. Ubytek ten musi być uzupełniony przez wypicie wody, gdyż utrata zawartości 10 proc. (a więc przy wadze człowieka 65 kg. strata około 4 litr. wody) grozi śmiercią, ale już mniejsza ilość powoduje osłabienie akcji serca i niemożność dalszego marszu. Rozwiązanie tej kwestji tak jak dotychczas to robią, że zakazują wodę pić. (aby się nie pocić), jest bezsensowne, jakkolwiek nadmierne picie również jest szkodliwe. Jedynym rozwiązaniem jest żelazna i konsekwentna dyscyplina wodna.

Niestety podczas wycieczki nie można pić wody, ile się jej pragnie, lecz pić ją trzeba na rozkaz. *Pierwsze picie wody* winno nastąpić przed wymarszem. Po przejściu 10—12 kilometrów (podczas upału 8 kilometrów) należy się napić wody po raz drugi, po przejściu 15—20 kilometrów po raz trzeci, a dalsze picie powinny następować po każdych 8—10 km. Ilość wody powinna być współmierna do jej utraty, czyli należy po każdych 8—10 km. pić około litra wody.

W jakiej formie należy przyjmować wodę? Najbardziej wskazane jest pić *wodę przegotowaną w formie herbaty*, gdyż w ten sposób najlepiej gasi się pragnienie, a ponadto unika się niebezpieczeństwa zarażenia się jakimiś chorobami zakaźnymi. Zwykle jest to możliwe podczas odpoczynków. (Przed wyruszeniem, podczas odpoczynku południowego oraz podczas odpoczynku głównego). Na każdym z tych odpoczynków przygotowuje się zapas herbaty, który bierze się do manierki.

*Woda zwykła*, a zwłaszcza źródłana, bardzo słabo gasi pragnienie. Woda ta w górach może być kryształowo czysta i wolna od jakichkolwiek szkodliwych bakterij. Podczas marszu w okolicach osiadłych wodę należy uważać za zarażoną lub co najmniej niebezpieczną, i dlatego należy ją albo przegotować, albo chlorować. Najlepiej chloruje się wodę przez dodanie 2—3 kropli 2 proc. wody Jawela na litr wody. Po upływie 20 — 30 minut woda jest wolna od bakterij i nadaje się do picia. Ten sposób jest bezwzględnie godny polecenia. Z jednej strony woda nie dużo traci na smaku, z drugiej daje absolutną gwarancję przeciw zakażeniom. 50 gr. wody Jawela wystarczy na całą wycieczkę.

*Palenie papierosów* podczas marszu wzmaga pragnienie i dlatego też nie jest wskazane. Również nie jest wskazane picie alkoholu, który podczas marszu osłabia akcję serca.

Wycieczka powinna zabrać ze sobą *małą apteczkę*: 2 pudełka motopiryny (równoznaczna z aspiryną), krople walerjanowe, Inoziemcowa, kilka bandaży, gazę sterylizowaną, waty, trochę jodyny, kilka proszków tannalbiny, kilka proszków na ból głowy. Tego rodzaju przygotowania a nawet przeprowadzenie wycieczki nie jest wszystkim. Na to, aby się ona udała, potrzebny jest jeszcze inny czynnik ogromnie ważny: dobry humor wszystkich uczestników wycieczki, zdrowy śmiech i wesoły niefrasobliwy nastrój.

Dr Ema Rajewska.



Ta czwórka czuje się doskonale w kostjumach turystycznych, zastosowanych do górskich wycieczek.

## Jak zostałam lekarką?

W Nr. 11 „Przodownicy“ autorka ukryta pod inicjałami H. S. z ujmującą prostotą opowiada o tem, jak obudziło się w niej powołanie lekarskie. Ponieważ artykuł ten zawiera sporo szczegółów ciekawych dla pań, mieszkających na wsi, przytaczamy go poniżej w skróceniu.

„Mieszkaliśmy na wsi, a stryjo nasz, który był doktorem, mieszkał w mieście, a przyjeżdżał do nas tylko dla odpoczynku.

W okolicy prędko zwiadywali się ludzie, że stryjo przyjechał i zaczęli się schodzić po poradę. Ze zaś nie było wolnej izby, w której mogliby oczekiwać, a w kuchni matka nie lubiła, gdy obsiadali jej ławki i przeskadzali w czynnościach, szli przez boczną furteczkę do ogrodu i siadali na ganku, jeśli zaś nie mogli się pomieścić, to i na schodkach i na stojącej pobok ławce.

Kiedy się stryj zjawił na ganku, robiło się zaraz weselej. Jego donośny, wesoły głos przenikał do serca każdego. Witali się — niektórych już znał od zeszłego lata. A pamięć miał na ludzkie twarze i na ludzkie cierpienia niezwykłą. Zresztą, jak każdy dobry lekarz, każdemu coś miłego powiedział. Na małych chłopaków wołał „Ocięc!“ Dziewczynkom mówił: „Kumciu“, brał je pod brodę, albo lekko szczypał w policzek. Dzieci się uśmiechały. A potem otwierał drzwi do sionki, która była za gankiem — tam stały już 2 krzeselka, stółek z miednicą, mały stoliczek z szufladką, gdzie stryjo chował swoje przybory lekarskie — i brał się do badania najpierw, co najciężej chorych. Mnie często wołał do pomocy. Pomagałam mu przy opatrunkach, podawałam watę, bandaże, różne narzędzia, bo nieraz trzeba było zrobić i małe operacje. Trzeba było trzymać płaczące, wyrwijące się dzieci, bo matki w takich razach były na nic, płakały razem z dziećmi albo łapały stryja za ręce, gdy robił coś koło dziecka i wołały: Panie Doktorze! przecie to boli!! Stryjo się wtedy okropnie złościł, wyrzucał matkę na ogród i mnie wołał. Najbardziej bałam się tych płaczących dzieci i



niezawsze chętnie szłam, ale stryjo wołał, trzeba było. A gdy raz zobaczył lzy w moich oczach, skrzyczał mnie: — Co z ciebie będzie za doktor, gdy się sama mazać zaczniesz!

Ach, to i stryjo już wiedział, że chciałam zostać lekarką!? — Chciałam, ale to mi się wydawało takie trudne! Trzeba było kończyć gimnazjum, potem iść na uniwersytet. Skąd wziąć na to pieniędzy? Rodzice nie mieli. I tak już jeden brat miał iść do szkoły rolniczej. A może — przeszło mi przez głowę — stryjo dopomógłby mi. Ale pytać nie śmiałam. Stryjo też nic nie mówił. A potem wkrótce i wyjechał. Opuścił ganek od ogrodu.

Aż raz, gdyśmy z lasu powracali z pierwszymi grzybami, usłyszeliśmy płacz przed domem. Przed bramą stała kobieta z dzieckiem na ręce, kołysała je ustawicznie, a ono płakało żałośnie. Kobieta miała bardzo zatroskaną twarz. Matka coś do niej mówiła. Okazało się, że przyjechała z dalekiej wsi z mężem i z półtorarocznym ślicznym chłopczkiem po poradę do stryja. Było to ich pierwsze dziecko. Mieszkali na końcu wsi, musieli iść na jarmark za kupnem krowy, dziecko zostawili samo w kołysce.

— Tak je mocno obwiązałam sznurami, żeby nie wypadło. Miało flaszkę z mlekiem i galganek z cukrem — opowiadała nam matka. I takem spieszyła! — Takem spieszyła! Zaraz za miastem ostawiłam męża z krową, a sama leciałam, jakby mnie kto gonil! A co bliżej domu byłam, to mnie coraz mocniej za serce ścisnęło, że memu Jasiowi coś się stało... I już zdala usłyszałam jego okropny, ochrypły płacz! — Wpadłam do izby. I tego, co zobaczyłam, póki życia nie zapomnę! Dwa prosiaki, które miały zagródkę w kącie izby, widać wylazły z niej i stały oparte o boki kółki i obgryzały paluszki mojemu Jasiowi... A on wil się i krzyczał i nie mógł się obronić... Samam go tak mocno przytrzymywała do kolebki... I krew mego dziecka spływała po białych łbach prosięcych, a one chrząkały... Żem ich nie pozabijała w pierwszej złości i rozpacz! Dopadłam do kolebki. Mój maleńki ledwie zapał.

Jeden mały paluszek do połowy był ugryziony, a inne prawie do kostek... Krzyku narobiłam, zbiegły się sąsiadki. poranione ręczki dziecku opatrzyły, nakarmiły go. Usnął, a jam płakała, płakała. Jasio w nocy miał gorączkę, krzyczał, zrywał się, paluszki się zaogniły. Okładamy liśćmi, kwasem chlebowym, ale nic nie pomaga. Dzieciak dzień i noc krzyczy. Ciągłe się w te bolące paluszki uraża. Słyszeliśmy, że tu jakiś dobry doktor na lato zjeżdża, przyjechaliśmy na poradę. — Gdy usłyszała, że, niestety, wyjechał, stanęła bezradna. Dziecko ciągle płakało, wymachując rączkami.

— A no — trza nam jechać zpowrotem — odezwał się milczący dotąd mąż. Daj go, to go potrzynam. Sama siadaj tymczasem.

Coś mię szarpnęło za serce. Nie, nie puszcze tego dziecka tak bez pomocy. Odezwałam się nieśmiało do kobiety: — „Tu są różne po stryju lekarstwa, odwińcie

dziecku rączki. Zobaczymy, może da się co zrobić“...

Moja matka spojrziała na mnie zdziwiona, ale nie bronila mi. Nawet pobiegła zobaczyć, czy jest gotowana woda. Rodzice z dzieckiem poszli za mną na ganek. Odwiązałam małemu paluszki. Aż mię zamroczyło, gdy zobaczyłam sterczące kosteczki: obslizgłe, zaropiałe, cuchnące. Śmiało zanurzyłam je do miseczki z ciepłą wodą karbolową. Widocznie sprawiło to małemu ulgę, bo chlapał w wodzie paluszkami. Gorzej było, gdy trzeba je było osuszyć, obsypać proszkiem i zawinąć gazą.

Krzyczał wtedy tak żałośnie, że mi się serce krajało. Zniosłam to jednak mężnie! (napewno stryjoby mię pochwalil!). Nałożyłam dużo, dużo waty i zawinęłam szmatkami. Zrobiły się z rączek duże, białe kukły. Gdy to malec zobaczył, zaczął się śmiać i wołać: — Lala! lala! Matka rzuciła się na niego i zaczęła go całować w wielkiej radości. Był to jego pierwszy śmiech od wypadku. A potem i mnie zaczęli oboje dziękować i błogosławić, że zawstydzona nie wiedziałam, co zrobić ze sobą. I powiedzieli, że będą codzień przyjeżdżali do mnie na opatrunki. Ale rodzice, bo i ojciec nadszedł z pola, nie zgodzili się na to: Szkoda czasu i konia w taki robotny czas (bo akurat pod siew szykowano rolę). Niech Julisia co drugi dzień chodzi sama do małego Jasia na opatrunki, przez las ścieżką jest dużo bliżej.

I stało się tak. Najpierw co drugi dzień, a później co trzeci i czwarty biegałam do mego pacjenta. Z początku chciał mię bić i kopać, ale gdy paluszki goić się zaczęły, witać mię zaczął z uśmiechem. Cieszył się kąpielą i nowymi czystymi lalami, których potem miał dużo więcej, niż dwie, bo mu



## STOPY W PŁOMIENIACH

oto męki człowieka, który wiele chodzi. Stopy palą, pieką, parzą. Obolałe, odparzone, o zgrubiałej skórze, z odciskami, boląciami przy każdym stąpieniu. A przecież wymoczenie takich nóg w ciepłej wodzie z solą J a n a przynosi niewypowiedzianą ulgę. Znowu możemy lekką stopą przebiegać ulice miast, tłoczyć się i chodzić, chodzić, chodzić...

każdy paluszek owijałam osobno. Zgoiły mu się w końcu ładnie, tylko jeden mały palec pozostał trochę krótszy.

Ten wypadek tak mną wstrząsnął, takie na mnie zrobił wrażenie, że już ciągle tylko o tem myślałam, żeby nauczyć się leczyć ludzi, pomagać w chorobie, ratować ich od śmierci. I zostałam lekarką. Stryj mi dopomógł. Pracowałam u niego w szpitalu, a potem, gdy w czasie epidemii tyfusu zaraził się i umarł, przeniosłam się w rodzinne strony i pomagam ludziom, jak mogę.

H. S.

## ODPOWIEDZI KOSMETYCZNE.

*Skautce.* Zapach z ust zawyczaj pochodzi od zepsutych zębów lub niedomogi żołądka. Bez usunięcia przyczyny powodującej nie uda się Pani zwalczyć nieprzyjemnej nietylko dla Pani ale i dla otoczenia wady. W sprzedaży znajdują się tak zwane „cachou“ zabijające chwilowo zapach. Można takie cachou polecić przygotować w aptece według następującej recepty: Glinki japońskiej 12,5 gr., sproszkowanego kosaćca 1,2 gr., sproszkowanego cukru 75,0 gr., gumy arabskiej 1,6 gr. i ekstraktu fiołkowego 1 kropla.

Przygotowuje się powyższą mieszaninę w ten sposób, że rozpuszcza się gumę w niewielkiej ilości wody, następnie dodaje się glinkę, cukier i proszek kosaćca, dobrze mieszając. Wreszcie perfumuje i tnie na drobne kawaleczki.

Również zabija się zapach następującą mieszaniną: kawy lub czekolady 90,0 gr., sproszkowanego węgla drzewnego i sproszkowanej wanilii po 3,0 gr.

*Poznaniance K. Z.* Jeżeli ma pani włosy tłuste, to myć można nawet co 3 dni. Suche zaś wystarczy co 2 tygodnie. Należy zbadać, czy cierpienie włosów nie jest pochodzenia grzybkowego.

*Nieszczęśliwej.* Blizny po oparzeniu udaje się leczyć metodą zachowawczą. Z operacją lepiej się wstrzymać, gdyż w wielu wypadkach po operacji wytwarzają się duże bliznowce. Jest to zabieg, do którego należy się udać po wypróbowaniu innych metod leczenia.

*Stanisławie M. ro Rydze.* Puder o ile nie zawiera środków trujących nie jest szkodliwy. Przeciwnie, chroni skórę od kurzu. Na noc jednak bezwzględnie powinno się myć buzię w wodzie z mydłem.

Dr Zofja R...rska.

## CZEM USUNĄĆ PIEGI?

Wobec pojawienia się tak upragnionego słońca pytanie to zadaje sobie niejedna z Pań, nie wiedząc, który z licznie reklamowanych środków wybrać do tego celu. Bezsprzecznie na największe zaufanie zasługuje cieszący się od szeregu lat jak najlepszą opinią krem D-ra Stenzla BENIGNINA. Jest pod gwarancją nieszkodliwy, usuwa piegi szybko i niezawodnie a pozatem oczyszcza z wszelkich wad cerę i nadaje jej młodociany wygląd. Zalecana przez lekarzy.



## KONKURS NA UTWÓR DLA DZIECI

Koło Polskiej Macierzy Szkolnej imienia Zofji Bukowieckiej ogłasza niniejszym konkursem na utwór literacki dla dzieci najszerszych warstw ludności, napisany w duchu ideałów autorki „Janka górnika”.

Inicjatorzy konkursu pragną pobudzić twórczość na wdzięcznym a zaniedbanym polu, dotąd bowiem literatura dziecięca powstawała głównie pod kątem widzenia zainteresowań dzieci t. zw. inteligencji z małym i nieistotnym zazwyczaj uwzględnieniem potrzeb milionowych rzesz dzieci ludu wsi i miast.

### WARUNKI KONKURSU.

1. Na konkurs nadsyłać można opowiadania i wszelkie utwory literatury pięknej, pisane prozą, dla dzieci na poziomie wyższych klas szkoły powszechnej (lat 10—14).

2. Utwory winny posiadać wartości społeczno-wychowawcze i artystyczne.

3. Tematy utworów winny być brane przede wszystkim z życia warstw pracujących, bądź współczesnego, bądź dawnego.

4. Rozmiar utworów: od dwóch do pięciu arkuszy druku.

5. Utwory na konkurs nadsyłać należy do dnia 31 stycznia 1935 r. pod adresem — Sekretarjat Koła P. M. S. im. Z. Bukowieckiej, Warszawa, ul. Żórawia 22 m. 7.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi przed dn. 15 maja 1935 r.

6. Za najlepsze utwory sąd konkursowy przyzna trzy nagrody: pierwsza w wysokości 300 zł., druga — 200 zł. i trzecia 150 zł.

W razie jeżeli żaden z nadesłanych utworów nie otrzyma pierwszej nagrody, suma 300 zł. może być przez sąd konkursowy podzielona na nagrody mniejsze.

Pozatem za wyróżniające się prace początkujących autorów, które nie otrzymały żadnej z nagród konkursowych, sąd może przyznać trzy „nagrody zachęty”, każda w wysokości 150 zł.

7. Koło P. M. S. im. Z. Bukowieckiej ma prawo dysponować pracami odznaczonymi, celem wydania ich nakładem własnym, względnie innej instytucji społecznej, przyczem autor otrzyma 10% ceny sprzedażnej książki.

8. Prace konkursowe powinny być napisane na maszynie lub ręcznie bardzo czytelnie.

9. Utwory powinny być podpisane godłem, którem też należy opatrzyć zapieczętowaną kopertę, zawierającą nazwisko i adres autora.

Autorzy, nie mający za sobą działalności literackiej i ubiegający się o „nagrodę zachęty”, powinni dołączyć do rękopisu utworu życiorys podpisany wyłącznie godłem.

10. Utwory podpisane prawdziwym nazwiskiem lub używanym pseudonimem autora, jak również utwory już drukowane będą z konkursu wyłączone.

11. Utwory nienagrodzone winny być odebrane w ciągu pół roku po ogłoszeniu wyników konkursu.

12. Do sądu konkursowego należą: Stanisław Bukowiecki, Stanisław Dobrowolski, Marja Drobniewska, Kazimierz Konarski, Gustaw Morcinek, Janina Porazińska, Józef Włodarski, Marja Zaborowska.

## Z życia ekranu

(Marja Dressler — Nowy typ filmu lotniczego).

Film, noszący mylący tytuł „Pilnuj swego męża!” nie jest wcale, jakby należało się spodziewać, salonową komedią, na temat zdrady małżeńskiej; jest to raczej połączenie farsy w stylu amerykańskim, z portretami dwóch wspaniałych pełnokrwistych postaci, z galerji typów ludzkich, reprezentujących „szarego człowieka” z małego amerykańskiego miasta portowego. Te przepyszne wizerunki fizyczne i psychologiczne są tylko w pewnej mierze zasługą scenarzysty, gdyż swe prawdziwe życie zawdzięczają przede wszystkim parze znanych nam dobrze aktorów charakterystycznych: Wallace'owi Beery i Marji Dressler. On, kapitan małego holownika, jest człowiekiem pozbawionym woli, leniem i pijaczną, w gruncie rzeczy jednak poezwiciwem, który potrafi w krytycznej chwili zdobyć się na czyn bohaterski, czyniąc to z taką samą prostotą i dziecięcą naiwnością, z jaką przez całe życie powodował

różne katastrofy rodzinne. Ona jest faktycznym kapitanem statku i „głową rodziny”. Pomimo to, że mąż sprawia jej tysiące kłopotów i paraliżuje wszystkie zamierzenia, co wywołuje różne konflikty komiczne i dramatyczne, dzielna kobieta wyprowadza „na ludzi” syna i z niezmożoną energją broni nie tylko materialnego ale i moralnego bytu rodziny. Jeżeli „wieczna kobiecość” reprezentowana przez Marję Dressler, osobę starą i bardzo brzydka, była już pewnego rodzaju paradoksem naprz. w takim filmie jak „Emma”, to paradoksalność tego faktu występuje jeszcze wyraziściej w tym filmie, gdzie bohaterka jest przecież kobietą napozor „męską”: ona prowadzi statek, ona walczy z konkurencją o zdobycie klientów, ona zarządza finansami, kieruje wycnowaniem syna i... tłucze od czasu do czasu męża pijaka. Ale pod temi pozorami męskosci kryje się najkwaszniejsza natura kobieca. Przecież ta sama „Herod-baba” nie dopuszcza do upadku autorytetu męża i ojca, wysuwając kapitana na pierwszy plan tam, gdzie tego wymaga prestiż rodzinny lub służbowy, sto suje do męża najsurowsze metody... wychowawcze, karze go i strofuje, ale nie pozwala lekceważyć go innym, wreszcie nie zgadza się na opuszczenie go, decyduje się raczej na zerwanie stosunków z synem, który ma dla ojca pogardę. Na tyle lojalności, na tyle uczucia w stosunku do człowieka, potrzebującego ciągłej opieki, na dźwiganie podwójnych obowiązków może zdobyć się tylko kobieta, prawdziwa kobieta, choćby sto razy była Herod-baba i kapitanem okrętu. Ona tylko wyczuła swą kobiecość intuicją, że w tym bezwolnym człowieku drzemią instynkty, które mogą go popchnąć zarówno do złego jak do dobrego. Jej głęboka wiara w obowiązek wytrwania przy mężu zostaje też nagrodzona.

Marja Dressler stworzyła tu znowu niezapomnianą kreację; z masy swego bezkształtnego ciała — niby rzeźbiarz z bryły gliny — wydobyła Marja Dressler każdym swym ruchem, gestem, słowem i uśmiechem kształt i duszę żywego, prawdziwego człowieka, szybkiego w decyzji i działaniu i prawdziwej kobiety, której uczucia pozornie nielogiczne mają swe głębokie podłoże w niezawodnym instynkcie.

Wallace Beery jest mistrzem w od-twarzaniu takich postaci jak kapitan: brak woli, brak odpowiedzialności, uczuciowość, łatwość ulegania impulsom. Jest irytujący i rozzulający zarazem. Poza temi wspaniałymi kreacjami aktorskimi, film odznacza się dobrą fotografią i sprawną reżyserją. Stroną ujemną stanowi tylko brak jednolitości stylu, farsowe wyjaskrawienie momentów komicznych w stosunku do psychologicznego pogłębienia postaci bohaterów.

Filmem bardzo interesującym, tym razem ze względu na temat i jego ujęcie, jest „Skrzydlate fatum” (rez. Stuart Walker).



Marja Dressler i Wallace Beery w filmie „Pilnuj swego męża”.



Jest to nowy typ filmu wojenno-lotniczego. W tych, które widywaliśmy dotychczas, na pierwszy plan wysuwała się technika zdjęć lotniczych, na tle standaryzowanej ideologii — bohaterstwa lotników. Tutaj widzimy przede wszystkim zaniechanie ubiegania się o pobicie rekordu w technice zdjęć (po „Skrzydłach“, „Aniołach piekła“, „Ryccerzach przestworzy“ i t. p. trudno jest pokazać coś więcej) i odwrót ku stronie psychologicznej. Bohaterem filmu jest człowiek, o skomplikowanej psychice, w którym wojna dokonywa stopniowych przeobrażeń. Jest znakomitym lotnikiem, każdy dzień przysparza mu sławy, przynosi zaszczyty i odznaczenie; ceniony jest przez dowództwo i stawiany jako wzór do naśladowania. Jednak te triumfy nietylko go nie upajają, ale coraz bardziej odsłaniają tę stronę wojennego bohaterstwa, której dobry żołnierz zazwyczaj nie widzi, a przynajmniej widzieć nie powinien i nie chce: że sam jest narzędziem śmierci. Porucznik Jounge wyobrażał sobie wojnę, jako grę sportową; pierwsze zestrzelenie dwóch samolotów nappełniło go dumą, niby mecz wygrany w polo. Dopiero fakt, że jednocześnie zginął jego obserwator, uświadamia mu całe okrucieństwo wojennej rzeczywistości. Zaczyna mieć wstręt do siebie; nie chce uchodzić za bohatera, którym nie jest, bo przecież nie znosi wojny, nie wierzy w dobro sprawy, które się okupuje takimi ofiarami. Zwycięstwo, odniesione nad asem nieprzyjacielskiego lotnictwa, młodym chłopcem, który musiał przez niego zginąć, dopełnia miary. Por. Jounge popełnia samobójstwo, uważając je za jedyne honorowe wyjście z tej zakłamej sytuacji. Taki typ człowieka wrażliwego, nie umiejącego się przystosować do kompromisów, jakich wymaga wojna, jest niewątpliwą nowością w filmie lotniczym, którego zresztą cały układ (scenariusz) odbiega daleko od znanych nam szablonów. Reżyser



Scena z filmu „Skrzydlate fatum“.

umiejętnie wydobywa z tego materiału właściwe akcenty; świetnie naprz. uwydatniony jest kontrast między pozorną „normalnością“ tego życia eskadry lotniczej, a jego wewnętrzną grozą (powtarzająca się kilkakrotnie scena, gdy ordynas pogwizdując zbiera rzeczy zabitego lotnika i za każdym razem mówi o tym, co zginął: „dobry był chłop, szkoda go!...”) Dobry jest też epizod w Londynie, dokąd por. Jounge udaje się na urlop, w przeświadczeniu, że tam, choć na kilka dni, zapomni o tem, co go trapi, tymczasem wszędzie słyszy tylko o atakach, strąconych samolotach i t. p. Poza głównym bohaterem dużą rolę w filmie gra jeszcze jedna postać, mająca stanowić typ kontrastowo odmienny — gruboskóry, zawzięty i lubujący się w rzemiośle wojennym por. Crocker (w oryginale film nosi

tytuł: „Orzeł i jastrząb“). Ale typ ten wypadł trochę niewyraźnie, czy to z winy aktora, czy reżysera. Natomiast Frederic March, który już nieraz dał dowód swego wielkiego talentu dramatycznego naprz. w filmie „Dr. Jekyll i Mr. Hyde“ wg. Stevensona) i inteligencji aktorskiej, stworzył tu jedną ze swych najlepszych ról. Jego bohater to typowy intelektualista - inteligent, który nawet w swej historii czy przy „zalewaniu robaka“ alkoholem zachowuje jakiś wykwint i kulturę gestu, którą potrafi oddać rzadko który aktor amerykański.

W ostatnich programach nie wychodzimy jakoś poza Amerykę. Film „Hopla!“ (cóż za „skaczący“ tytuł!) pociąga nazwiskiem reżysera Franka Lloyd'a (twórca „Kawalkady“), który jednak tutaj nie wznosił się ponad poprawność. Prawdopodobnie uznał, że temat nie zasługuje na większy wysiłek, ograniczył się więc tylko do potraktowania kilku scen z większym rozmachem i starannością: scena wybuchu awantury w Luna-Parku i ogólnej bójki, oraz scena końcowa. Temat „opiewa“ raz jeszcze dzieje grzeszniczy, którą oczyszcza prawdziwa miłość do niewinnego młodzieńca (wprawdzie na ekranie częściej „on“ bywa „uszlachetniany“ przez kobietę). Nawróconą grzesznicą jest Klara Bow, kiedyś, za czasów niemych, „dziewczyna, która miała coś“, dziś — aktorka, która gra dobrze, ale już tylko rutyną. Jedyne nowy warjant tematu stanowi konflikt między ojcem, pragnącym żyć tylko dla syna, a kochanką ojca, której ten syn zawadza. Tyle razy widzieliśmy takie konflikty na tle miłości macierzyńskiej, że raz chętnie, dla odmiany, oglądamy trudności miłości ojcowskiej. Film, pod względem technicznym (fotografje, dźwięk) na przyzwoitym poziomie, należy do tych, które nie dają wprawdzie głębszych wrażeń artystycznych, ale mogą w zupełności zadowolnić przeciętnego widza, zadawalniającego się zajmującym widowiskiem



Scena z filmu „Hopla“.

Stef. H.



# Z TEATRÓW

„Migo“, komedia Achard'a, przekład B. Gorkyńskiego w teatrze Nowym.

Zaczyna się to, jak sensacyjna bomba; w komisariacie policji i kończy jak powieść kryminalna: aresztowaniem. Ale to tylko przynęta, którą autor sprytnie wabi publiczność bulwarową, aby niepostrzeżenie dla samej siebie połknęła haczyk. Haczykiem jest „Jaś z księżycą“ w nowej edycji. Młody fotograf, pod śmieszną zewnętrzną postacią poczciwego matolka ukrywający prawdziwe skarby głębokiego uczucia, które każe mu je poświęcić dla rzekomego dobra ukochanej dziewczyny, jest prawdziwym bohaterem sztuki i faworytem autora. I jego to, dziwaczna w oczach kabarytynów, ale przedziwnie piękna w oczach poety, dziecięco prosta postawa wobec życia, nie zaś romansowe przygody Migo-girlaski, stanowi oś komedji i jej oryginalność. Bez tej postaci sztuka byłaby prosto żręcznie uinscenizowanym epizodem „faits divers“ z życia girdasek i fordanserów.

Trzeba przyznać, naprzekór intencjom autora, że, o ile tenor jego fotografa-trubadura niejednokrotnie fałszuje (pomysł szantażu celem zmuszenia wiarołomnego fordansera do symulowania miłości dla za-

wiedzonej Migo), o tyle wszystkie reportażowe rodzajowe (scena w komisariacie, poranek na mansardzie girdasek, sielanka w atelier fotograficznym) malowane są żywymi farbami i tak lekko, że nie znać na nich szablonu. Autor naświetla gniazdko tancerek w sposób nawskroś ludzki, pełen współczucia dla tych ptasich mózdków, zahipnotyzowanych do utraty zmysłów słowem „miłość“. Zawiódłby się ten, kto by wśród tych biednych, bardzo koleżeńskich i bardzo uczciwych i bardzo głupich dziewcząt szukał wampirów, wyzyskiwaczek, kobiet sprzedajnych i t. p. To one raczej są ofiarami, wyzyskiwanymi jeśli nie materialnie, to moralnie i uczuciowo przez rozmaitych drapichróstów z pod ciemnej gwiazdy.

I tu docieramy do jednego ze źródeł prostytucji. Taki kochanek nietyle „zamordowanych“, co „mordujących“ dziewcząt, nigdy nie jest bezinteresowny. Narazie porzestaje na uwiedzeniu dziewczyny, a gdy mu się znudzi... to kto wie? Przecież handlować można potajemnie nietylko kokainą. Są jeszcze i inne, pewniejsze narkotyki.

Tancerz Rodrigez to właśnie taki idealny kandydat na alfonsa. Jeżeli nim nie zostaje, to chyba tylko dlatego, że jedna z porzuconych przez niego dziewcząt strzelała lepiej, niż Migo i wymierzyła doraźną

sprawiedliwość sumarycznie: za siebie i za swe poprzedniczki.

I choć napewno nikt z widzów nie jest zwolennikiem samosądu, nastrój sztuki jest taki, że cała nasza sympatja staje po stronie „mordujących“ dziewcząt, nie po stronie zamordowanego nicponia.

Ale, powtarzam, najważniejsze dla autora jest to, że zwyciężyła szlachetna miłość „ubogiego duchem“, jeszcze jednego „Jasia z księżycą“. Sztukę pod względem reżyserskim wyczelował po swojemu Wegierko, mistrz efektów kameralnych. Tytułową rolę „tancerki komicznej“ Migo, zagrała z właściwym sobie tupetem naiwności Jarkowska. Żelichowska, według słów jednego z krytyków, na swoich długich nogach przeszła pewnie i śmiało z kabaretu na deski sceniczne. Czwórkę girdasów uzupełniały żeliska i Konopkowa.

Kurnakowicz z przejęciem zagrał „postzelonego“ potrójnie fotografa (raz przy padkiem z rewolweru, drugi raz przez Amora, a przedewszystkiem z natury i od urodzenia).

Hnydziński był w sam raz brutalny i cyniczny, jak przystało na demonicznego fordansera.

Koszmarny epizod świadka-psychopaty w pierwszym akcie dał Wroncki.

Sztuka błaha zyskała doskonałą odskocznię w grze aktorów. S. P. O.



Scena I aktu „Migo“, Acharda.



# Kobieta w świecie i w domu

## BANKIET GWIAZD.

Na bankiecie filmowym, urządzonym w Hollywood prezydowała w pięknym stroju, widocznym na fotografii, znana gwiazda filmowa Anu Harding; obok niej aktor Mac Langlen.

## URATOWANA...

Mała June Bobles odczytuje gratulacyjne telegramy, jakie otrzymała z okazji uwolnienia jej z rąk bandy „porywaczy dzieci“.



## KOBIETA PREZESKĄ TOWARZYSTWA DO WALKI Z BEZROBOCIEM.

Zasłużona na polu społecznym i filantropijnym działaczka węgierska pani Bianka Kosztolanyi została ostatnio wybrana na przewodniczącą Tow. do Walki z Bezrobociem w Budapeszcie. Mimo młodego wieku (37 lat życia) ma już za sobą szereg lat pracy społecznej.

## PIERWSZA KOBIETA SĘDZIĄ FEDERAL- NYM.

Prezydent Roosevelt zamianował pannę Florence E. Allan, z Cleveland, sędzią federalnym sądu apelacyjnego. Trzeba dodać, że „Federalny Okręgowy Sąd Apelacyjny” jest poza Najwyższym Sądem St. Zjednoczonych najwyższą tego rodzaju instytucją w Ameryce. Zatem panna Allan istotnie jako pierwsza kobieta osiągnęła tę wysoką godność, o jakiej dotąd nie marzyła żadna kobieta - prawniczka, nawet w Ameryce.

## NAJPIĘKNIEJSZE PANIE...

Jury, złożone z najwybitniejszych artystów Nowego Yorku, wybrało z pośród pań z towarzystwa 8 najpiękniejszych kobiet, które mają wziąć udział w żywych obrazach podczas wielkiego Balu Czerwcowego, który się odbywa corocznie w najwspanialszym hotelu —



Waldorf - Astoria w Nowym Yorku, a z którego dochód przeznaczony jest na Klub Bezrobotnych dziewcząt, pozostający pod opieką prezydentowej Roosevelt.

Stoją od lewej: Mac Clelland Barclay, znany malarz, panie: Harrison Williams, Yay O'Brien, hr. Edith di Zoppola, Lucille Brokar, Mary Taylor; siedzą: Howard Chandler Christy, malarz, Harrison Twel, Philip Benkard, Henry Gray.



#### ZNOWU PORYWACZE...

Piękna i znana sportsmenka amerykańska Lorette Turnbull wraz ze swym ojcem przebywa w swojej fermie po nieudanej porwaniu swej osoby.



#### ORYGINALNE MIESZKANIE.

Do najoryginalniejszych bodaj mieszkań można zaliczyć te, które obrało sobie za siedzibę kilka rodzin angielskich. Są to mieszkania w pieczarach skalnych na wierzchołku samotnego wzgórza, które się ciągnie wzdłuż drogi Birmingham, a Stourbridge. Wysokość jego dochodzi do 300 stóp, a wgląd robi wrażenie dekoracji teatralnej. Rodziny mieszkają w pieczarach o skalnych ścianach, jedynie otynkowanych, o sufitach przybranych starymi, stuletnimi rzeźbami.

Widok i wejście do mieszkania roztacza się na okolicę w promieniu 20 mil.

Na fotografii widzimy moment posiłku w „kamiennej” jadalni.





## Kongresy kobiece w lipcu

Lipiec stanie się ośrodkiem feministycznych kongresów. Albowiem dn. 2 lipca rozpocznie swe obrady Międzynarodowa Rada Kobiet w Paryżu i trwać będą one do 12 lipca. Na czoło zagadnień omawianych wysuwają się trzy problemy: a) zagadnienie prawa kobiet do pracy, b) sprawa rasizmu, c) sprawa pokoju i międzynarodowego porozumienia. Wieczór poświęcony palącemu zagadnieniu prawa kobiet do pracy zgromadzi reprezentantki wszystkich organizacji międzynarodowych kobiecych, które się tą sprawą interesują, i ma mieć charakter wielkiej demonstracji na rzecz prawa kobiet do pracy. W związku ze sprawą pokoju, będącą na porządku dziennym obrad Międzynarodowej Rady Kobiet, zwołuje Międzynarodowy Związek Równouprawnienia Kobiet do Paryża na dzień 4 lipca posiedzenie komisji pokoju i Ligi Narodów. Dn. 6 lipca w sali kina Gaumont w Paryżu komisja kinematograficzna Rady Międz. Kobiet organizuje wieczór, poświęcony znaczeniu propagandowemu kinematografu.

W związku z kongresem Rady Międz. Kobiet urządza p. Avril de Sainte Croix bazar międzynarodowy w Paryżu, w którym współdziała zadeklarowała większość rad narodowych nawet z tak odległych krajów, jak Indje, Peru i Afryka Południowa.

Zaraz po ukończeniu kongresu Rady Międzynarodowej rozpoczną się w Paryżu obrady Międzynarodowych Klubów Soroptymistek, które są odpowiednikami męskich Rotary Klubów i gromadzą przedstawicielki różnych zawodów. Debaty tego kongresu mają być poświęcone sprawie większości krajów, gdzie są kluby soroptymistek, nad krajami, gdzie ich niema.

Niewątpliwie lipiec zgromadzi w Paryżu najwybitniejsze przedstawicielki organizacji kobiecych całego świata.

W dniach od 20 do 25 lipca Międzynarodowa Chrześcijańska Unja Kobieta Abstynencka zbiera się w Sztokholmie. Wierna swym tradycjom organizuje unja wielką demonstrację na rzecz pokoju świata.

## Wieczór kompozytorek polskich

Stanowczo kompozytorki polskie za mało się produkują. Wykonaniu ich utworów w sali koncertowej wobec licznie zebranej publiczności przeszkadza niewątpliwie



brak środków z jednej, brak spójności zorganizowanej propagandy z drugiej strony. Kompozytorki radzą sobie jednak, jak mogą. Czasem w „Simie” popularny już dziś zespół żeńskich rewelersów „Te cztery”, wykona jakiś drobiazg muzyczny, czasem na jakimś koncercie usłyszy się „przypadkowo” utwór jakiejś kompozytorki polskiej, — oto wszystko.

W ostatnich czasach jednak dzięki energii pani Bergerowej, założycielki Towarzystwa Popierania i krzewienia twórczości kobiet polskich, zawiązanego w Ameryce, po zeszłorocznym kongresie auterek i kompozytorek w Chicago, szczerze grono pań, interesujących się muzyką, miało sposobność usłyszeć szereg utworów kompozytorek polskich, wykonanych przez polskie pianistki, skrzypaczki i śpiewaczki na kon-



Pani Gustawa Szererowa, żona dyr. Zakładów Inniarskich „Lenko”, w sukni lnianej, nagrodzonej na „Nocy Mody Letniej” w hotelu Europejskim.

certie prywatnym, urządzonym w mieszkaniu pani Bergerowej.

Koncert był ułożony w ten sposób, że utwory poważniejsze przeplatano lżejszemi. Doskonała melodeklamacja p. Strońskiej ilustrowała niektóre numery. Z pośród wykonanych utworów pań: Aliny, Grzegowicz-Lachowskiej, prof. Heleny Dorabalskiej, Marji Poznańskiej, Lucyny Robowskiej, Marji Trębickiej, Zofji Ossendowskiej, Vorbond - Dąbrowskiej i innych na czoło wysunęła się bogata i mocno zarysowana indywidualność twórcza A. M. Klechniowskiej. Jej „Bilitis”, poemat muzyczny na sopran, chór i fortepian, odznaczony na konkursie „Muzyki” w Warszawie, ma ciekawe i oryginalne motywy, nawskroś nowoczesną harmonizację, bogaty i gorący koloryt.

## Związek Pań Domu

Komunikat z zebrania członkowskiego Z. P. D. z dnia 1 czerwca 1934 r.

W dniu 1 czerwca r. b. odbyło się ostatnie przedwakacyjne zebranie Związku Pań Domu, Oddziału Warszawskiego.

Przed zebraniem przewodnicząca p. Lutostańska dokonała odznaczenia pracownicy domowej Teresy Jabłońskiej odznaką małą, brązową za 5 lat wzorowej pracy w jednym domu.

Referat p. t. „Nasz wypoczynek, nasze wakacje” wygłosiła p. Iwanka-Prażmowska, kierowniczka referatu C. I. W. F., w którym wykazała potrzebę znalezienia możliwości wypoczynku — wakacyj i rozrywek tak ważnych dla zdrowia i nerwów całego społeczeństwa — jak również konieczność znalezienia i umiejętnego spożytkowania godzin wypoczynkowych.

Zarząd Związku podał do wiadomości, iż łącznie z Instytutem Gospodarstwa Domowego organizuje w dniach 6, 7 i 8 czerwca r. b. w lokalu Związku kursa przetworów owocowych z pokazem wykonania dżemów, kompotów i t. p. według wymagań higieny i dietyki.

Wydział Pracy na przedmiściach zakomunikował, że zorganizował 2 kursy gospodarstwa domowego dla kobiet ze sfer rzemieślniczych.

Wystawa mieszkania jednopokojowego urządzona na Rybakach, a później przewieziona na Bema do szkoły powszechnej, trwała 5 tygodni i cieszyła się dużą frekwencją. Tamże odbywały się pogadanki na temat gospodarstwa domowego.

Wydział Związku przerywają swą pracę z dniem 15 czerwca na okres wakacyjny.



# Ogrodnictwo i hodowla

## ARUM

Do ulubionych dawniej, a dziś trochę wyszłych z mody roślin pokojowych należy *arum*, po polsku *obraźnica*. Jest to jedna z najbardziej dekoracyjnych roślin pokojowych, oczywiście wtedy, gdy dobrze rośnie. Sama mam *arum*, który sięga 170 m. i posiada 10 wspaniałych liści.

Niestety, jeśli nie ma należytej pielęgnacji, posiada zwykle tylko trzy liście i, gdy czwarty strzela w górę, dolny marnieje. Stąd rozpowszechnione twierdzenie, że *arum* w pokoju może mieć trzy liście. Stan taki dowodzi osłabienia rośliny i braku pokarmów, lub poprostu choroby.

*Arum*, to roślina podzwrotnikowa. Główną jego ozdobą są wielkie o cudnej szmaragdowej barwie liście. Wyrastają one wprost z pnia i są osadzone na dużych mięsistych ogonkach, owalne, strzałkowato przykrojone. U zdrowych, dobrze rozwiniętych egzemplarzy dochodzą do 1 m., starsze sztuki kwitną co rok na wiosnę. Kwiaty zebrane w kwiatostan, osadzony na krótszym niż liście ogonku. Kwiatki drobne, ale liczne, barwy białozielonej, zebrane jakby w buławę, otoczone kremowo białą pochwą.

Roślina wymaga *ziemi* zasobnej w składniki odżywcze; musi być dość ciężka, spoista ze sporym dodatkiem przegniłego nawozu. Na spód dajemy warstwę *tluczonej cegły*, lub co lepiej *węgla drzewnego*.

Latem potrzebuje wiele *słońca* i *wody*. Zimą zadawala się skąpem światłem tak, że może stać nawet w głębi pokoju. Zimą utrzymujemy ją średnio wilgotno. Najchętniej lubi 15—18° C, ale znosi zarówno wyższą, jak i niższą temperaturę. Młode rośliny przesadzamy co roku na wiosnę; starsze hodujemy w drewnianych kubłach i przasadzamy raz na kilka lat. Dwa razy do roku: w lutym i w maju odświeżamy warstwę ziemi. Za ten zabieg roślina jest bardzo wdzięczna.

*Arum* należy do roślin żarłocznych i potrzebuje wiele pokarmu. Doskonale mu robi podlewanie, od lutego do września, co dwa tygodnie płynnymi nawozami sztucznymi. (1 łyżeczka herbaciana mieszanki pokojowej na 2 l. wody). Od października do lutego roślina znajduje się w stanie spoczynku i wtedy nie tylko należy wszelkiego zasilania poniechać, ale i dawki wody mocno zmniejszyć.

*Obrażnica*, to roślina, która posiada bardzo wiele zalet: 1) Jest

bardzo dekoracyjna i dobrze się prezentuje zarówno w grupie, jak i ustawiona pojedynczo. 2) Jest wytrzymała, rośnie dobrze prawie wszędzie, trzeba tylko dbać, aby miała dostatek wilgoci i aby kurz nie osiadał na liściach. Co tydzień zmywamy liście wystającą wodą, za pomocą miękkiej szmatki. 3) Zimą nie wymaga koniecznie słonecznego stanowiska.

Jednakże posiada jedną wielką wadę, a mianowicie: liście i łodygi przecięte wydzielają ciecz, która jest trująca. To też wszelkie odpadki *arumu* należy niszczyć starannie.

Oprócz *arumu* zwykłego istnieje wspaniała odmiana pstrolistna: *foliis variegatis*. Rośliny tej odmiany są jednakże dużo delikatniejsze od poprzedniej i w hodowli często kapryśne. Wymagają dużo więcej światła i słońca. Używa się dla nich ziemi wrzosowo-liściowej, do której domieszano 1/5 węgla drzewnego, potłuczonego na kawałki, wielkości orzecha włoskiego.

*Rozmnażanie arumów* w warunkach pokojowych jest prawie niemożliwe, bo roślina ta potrzebuje dużo wilgotnego ciepła, aby puściła korzenie. Natomiast wystarczy do tego w zupełności inspekt. Ponieważ *arum* to roślina naogół bardzo droga, więc się flancowanie oplaca, zwłaszcza, że nie wymaga krom wilgotnego ciepła nic specjalnego.

W miejscach, gdzie odpadają liście, powstają na pniu jakby blizny. Każda taka blizna posiada uśpione oczko, z którego można wyhodować samodzielną roślinę.

Gdy chcemy *arum* rozmnożyć, ścinamy mu przedewszystkiem wierzchołek wraz z pękiem liści pod najwyższą blizną. To będzie najładniejsza sadzonka. Następnie krajemy pień na tyle kawałków, ile ma blizn. Obrzynane kawałki sadzimy do świeżo założonego ciepłego inspektu, w ziemię, do której domieszano 1/3 gruboziarnistego piasku i przykrywamy rośliny piaskiem. Następnie podlewamy silnie i stale będziemy tę wilgoć utrzymywać; spuszczaamy okna, wietrząc niewiele. Po miesiącu zwykle ukazą się pierwsze kielki, z których znów po mniej więcej 30 dniach rozwinię się pierwszy liść. Jest to dowodem, że roślinki już się dobrze zakorzeniły. Następnie sadzimy roślinki do małych doniczek (jeśli który z flanców wytworzył 2 roślinki, to je rozrywamy, doniczki zagłębiamy po wręby w inspekcie, silnie zlewamy przez sitko i coraz więcej teraz podlewamy. Najlepszą porą do tej czynności jest

W praktyce było jeszcze gorzej. Niższe bowiem czynniki administracyjne u...  
ski...  
dek...  
dla wa...  
mie...  
fa...  
wa...  
prz...  
to największe ułatwienia, a niewąt-



marzec, kwiecień. Do jesieni powinny się utworzyć maleńkie *arumki* o 4 liściach każdy, wysokości 60—80 cm. W inspekcji trzymamy roślinki do sierpnia, potem przenosimy do pokoju.

Widać więc z powyższego, że rozmnażanie *arumów* to nic trudnego, a maleńkie roślinki są wprost urocze.

Marja Dąbrowa.

## Wilki i odrostki korzeniowe u drzew owocowych

Wilki i odrostki korzeniowe zabierają soki odżywcze części uszlachetnionej, która na tem bardzo cierpi. To też dbały hodowca nie pozwala im się plenić i usuwa zło w samym zarodku.

Wypustki korzeniowe wydają specjalnie obficie wiśnie i śliwy oraz niektóre odmiany jabłoni. Poza nadmierną skłonnością do wydawania odrostów przyczyną może być również słaby wzrost szczepu. Wówczas soki z dzika nie zostają zużytkowane i w rezultacie powstają odrosty.

Usuwanie odrostów korzeniowych uskutecznia się z zasady latem. Czynność ta musi być wykonana bardzo starannie, bo gdybyśmy to zrobili niedbale, odrosty pojawiają się znów jeszcze silniejsze.

Aby należycie powycinać odrosty korzeniowe, należy ziemię odkopać motyką do tej głębokości, aby obnażyć nasadę korzenia, z którego odrost wybija. Wycinamy go bardzo ostrym nożem, robiąc gładkie cięcie tuż przy korzeniu i zasypujemy ziemią z powrotem. Oczywiście, że odrosty należy usuwać możliwie jak najwcześniej, dopóki są jeszcze małe, gdyż jeśli dopuścimy do tego, żeby się zbyt rozrosły, to, po pierwsze, pozbawiamy drzewo należnych mu soków, a po drugie trzeba by na korzeniu robić duże cięcia, dające ranę, która się trudno goi.

Wilki są to gałązki wyrastające prostopadle na pniu lub starszych konarach drzewa. Służą one szcze-



powi również do gojenia ran lub też do zachowania równowagi we wzroście drzewa. Powinny być natychmiast usuwane, bo są to bezpłodne pasorzyty, żerujące na drzewie, ponadto zagęszczają korony i zawsze szybciej rosną od innych pędów, nigdy nie owocując.

Wycinamy je u samej nasady, zasmarowując ranę maścią ogrodniczą.

Czasem mogą nam oddać pewne usługi, a mianowicie, gdy brak obok rozgałęzień, wilk, przycięty zimową porą na 3—4 oczka, może służyć, jako gałąź zastępcza.

Marja Dąbrowa.



## Wydry

Na skórki wyder jest zawsze duże zapotrzebowanie, bo to one są używane na kołnierze do męskich palt, a tysiące ich strzyże się, farbuje i tak wędrują na rynek pod mianem fok.

W kraju naszym dawniej to zwierzątko niesłychanie było rozmnożone i stanowiło utrapienie wszystkich właścicieli gospodarstw rybnych, gdzie czestokroć wyrządzało poważne szkody. Tępiono je też zawzięcie, aż wytępiono prawie całkowicie. Dziś rok rocznie wywozimy setki tysięcy złotych do Ameryki za skórki wydry. W niewoli zwierzątko to czuje się znakomicie, jeśli więc tylko możemy dostarczyć odpowiednich warunków i racjonalnie je żywimy, to ferma hodowli wyder może dać duże zyski.

Podstawą racjonalnej hodowli jest teren wodny, oraz możliwość dostarczenia wydrom *tanich ryb*. Miejscowości, gdzie jest obfitość wody i są gospodarstwa rybne, jest u nas bardzo dużo. Gospodarka stawowa jest poważnie zagrożona wobec kolosalnego importu ryb sowieckich, węgierskich po dumpingowych cenach. Właściciele stawów, zwłaszcza tych, które są położone dalej od ośrodków zbytu, powinni się zainteresować hodowlą wydry na skórki. Taka hodowla racjonalnie postawiona może być bardzo intratna, bo skórka wydry, zależnie od wielkości i koloru, kosztuje od 150 zł. do 500 zł. Przypuśćmy nawet, że za surową skórę można otrzymać tylko połowę tej ceny, to jednak jeszcze jest bardzo dużo.

Sama hodowla nie przedstawia żadnych specjalnych trudności, bo, jak wyżej powiedziałam, wydra w niewoli czuje się bardzo dobrze i mnoży się doskonale. Pierwiastki odrzucają w każdym miocie po 3—4 sztuk a starsze matki, powyżej 2 lat, dają w jednym miocie po 4—8 sztuk młodych. Odchów młodych załatwia matka, która się swemi

dziećmi opiekuje nadzwyczaj troskliwie. Młode wydry rosną bardzo szybko. Na świat przychodzą ślepe i niedołożne, ale już po 10 tygodniach wychodzą z matką na łowy.

Wydra oswaja się zupełnie i nawet przywiązuje do swego pana.

Wydra, po łacinie *Lutra vulgaris*, przypomina z użebienia kunę. Spotyka się ją w stanie dzikim we wszystkich częściach świata, za wyjątkiem Australji.

Jest to zwierzątko dość duże, poruszające się na ziemi niezgrabnie, bo właściwym jej żywiołem jest woda. Pływa i nurkuje znakomicie, dzięki płetwom, które ma między palcami. Futerko ma gęste, zwarte, o niskim włosiu i bardzo silnym połysku. Futerko to jest odporne na wodę, która po niem spływa, a nie namięka zupełnie. Samice są naogół nieco mniejsze, ale mają ciemniejsze, skutkiem tego droższe futerko.

W stanie dzikim wydry żywią się prawie wyłącznie rybami, w niewoli zaś przyzwyczajają się szybko do pokarmu mieszanego, jedzą chętnie: mięso, krew, jaja, myszy, szczury, króliki, oraz pokarmy roślinne, jak: zboże, czerstwy chleb, okopowe, owoce, kasze i t. p.

Karmiącym matkom i małym wydrom podaje się prócz tego mleko do picia. Ryby są dla nich nieodzowne i bez nich nigdy hodowla nie da odpowiednich rezultatów. Przynajmniej trzy razy w tygodniu wydry muszą dostawać po 200 gr. żywej ryby na sztukę, a w okresie cieczi codziennie.

Okres cieczi przypada na miesiąc luty, a po 63 dniach samica wydaje młode na świat. Parowanie i wykot pozostawia się zwierzętom samym, od początku lutego do pierwszych dni marca trzymamy zwierzęta parami. Później jednak lepiej je rozdzielić, bo kotne samice lepiej się czują w samotności.

Urządzenie fermy dla wyder jest dość kosztowne i wymaga dużych nakładów pieniężnych. Cały teren musi być ogrodzony mocną siatką drucianą, którą należy wpuścić

w ziemię, przynajmniej na metr, bo wydry lubią się podkopywać. Wysokość ogrodzenia musi wynosić najmniej 2 m., wierzch również musi być zaciągnięty.

60 proc. ogrodzonego terenu powinna zajmować woda, która musi być bieżąca. Na każde zwierzę przeznaczona jest 10 m. kw. powierzchni.

Jeżeli hoduje się osobną zagrodę dla każdej pary, to powierzchnia jej musi wynosić najmniej 3 na 6 m.

Każda samica musi mieć swoją budkę noclegową.

P. Maurycy Trybulski w swojej książce o zwierzętach futerkowych radzi budki urządzić w następujący sposób: Najlepsze wymiary 60 cm. szerokości i takiej samej wysokości, długość do 2 m. Całość zbudowana o podwójnych ścianach z ceczek półcalowych. Przestrzeń między ściankami powinna wynosić od 10 do 15 cm. i wewnątrz musi być wypełniona trocinami, paździerzami, miałem torfowym i t. p. Wierzch nakrywa się dachem na zawiasach obitym papą z dwoma kominkami dla wentylacji. Daszek powinien być mocno pochylony na jedną stronę. W bocznych ścianach również się robi otwory dla wentylacji. Do domku prowadzi tunel przynajmniej metrowej długości o wymiarach 25 na 25 cm. Tunel powinien dochodzić wprost do wody. Wewnątrz domku dajemy obficie ściółki.

Przed wykotem wrzucamy do zagrody sporo szuwaru, cienkich gałązek i t. p., z czego samica buduje sobie *gniazdo dla małych*. Samice po skończeniu roku są zdatne do dalszego rozplodu. Samców przed ukończeniem 14 miesiącem nie należy używać.

Najpiękniejsze futra posiadają wydry od połowy grudnia do końca stycznia, to też w tym czasie powinny być dla skórek zabijane. Najlepszym i najhumanitarniejszym sposobem zabijania zwierzątek jest chloroformowanie.

W tym celu umieszczamy wydrę w skrzynce hermetycznej, do której wkładamy tampon waty, przesyconej chloroformem.

Skórkę zdejmujemy się ostrożnie od ogona do głowy, uważając, aby jej nie przedziurawić. Potem naciąga się ją na drewniane prawidło, lub na pręt galwanizowany i suszy w przewiewnym miejscu.

Dziś zapotrzebowanie skórek wyder pokrywamy przeważnie Ameryce Północnej, a futerko wydry z okolic Labradoru, jest specjalnie cennie. Nasza wydra rzeczna posiada futerko nie a nie gorsze i warto, aby ludzie, rozporządzający odpowiednimi terenami, zainteresowali się sprawą hodowli wydry. M. S.



# Dom i gospodarstwo



## „ZIARNKO DO ZIARNKA, A ZBIERZE SIĘ MIARKA”

Ileż realistycznej prawdy mieszczą w sobie te mozolne słowa. Bo faktem jest, że znoszenie ziarenek do miarki, to praca nie byle jaka.

O niej właśnie chciałabym dzisiaj powiedzieć słów kilka, zwracając się specjalnie do Pań, mieszkających na wsi i prowadzących gospodarstwa o rozpiętości poważnej, bo „drobiowo - chlewnego” podwórka i ogrodu.

Wieś produkuje dla miasta. Tak już jest odwieczny porządek rzeczy. Ale pomiędzy producentką a odbiorcami stoi cały szereg postaci o chciwych rękach, wyciągniętych po zyski. I te ręce zagarniają cały dorobek. Jeżeli hodowla, czy to drobiu, czy warzyw, lub owoców jest kontrolowana przez uczciwą, dobrze prowadzoną rachunkowość, wykazuje najczęściej, jeżeli nie stratę, to zyski minimalne, zyski tego rodzaju, które są śmieszne w przystosowaniu do ogromu wysiłku, włożonego w imprezę.

Jeszcze gorzej jest, jeżeli „gospodarstwo kobiece” obchodzi się bez kalkulacji i bez rachunkowej kontroli, bo gdyby nawet dokładało grosze, to i grosz jest dzisiaj wszędzie, a na wsi przedewszystkiem nie do pogardzenia, jako część składowa złotych, dziesiątek i setek.

Ten łańcuch chciwych rąk pośredniczy, który rozgranicza produkującą wieś od spożywającego miasta, pachłania wszystko to, co się należy wytwórcy, to też cały wysiłek powinien dążyć ku temu, aby zorganizować zbyt z pierwszej ręki.

Dałoby się to skutecznie jedynie systemem spółdzielczym, na podstawie zrzeszenia się okolicznych dworów i dobrze prowadzonych gospodarstw mniejszych, które podzieliłyby się produkcją, idąc każde w specjalnym kierunku, ale idąc już planowo i fachowo.

Cały wyprodukowany dorobek należałoby przekazywać wprost centrali miejskiej, prowadzonej przez osobę pracującą na procentach od zbytu i zobowiązaną do „niezanieczyszczenia” produktów, pochodzących z pierwszej ręki domieszką sklepikarstwa, tak, jak się

to zwykle dzieje w szumnie mianowanych „Sklepiach wiejskich”, które prowidują się w halach targowych, przy rogatkach miejskich, u domokrażców, oferując klienteli, pod pokrywką dostaw „wprost ze wsi”, produkty o miernej wartości i pokątnem pochodzeniu.

Mam wrażenie, że Panie Ziemiarki, które zapoczątkowałyby tego rodzaju akcję, nietylko dojdą do przekonania, że się ona opłaca, ale i w pierwszym już roku odczują zbawienny wpływ poważnie zwiększonych dochodów.

Ile razy poruszałam tę sprawę z moimi dawnymi sąsiadkami, albo wiejskimi kuzynkami, zawsze wynalazły „ale”, które uwolniło je od poczucia odpowiedzialności za uchylanie się od zbawiennej reformy i inicjatywy.

Tymczasem, te same oporne jednostki wyzalały się nieraz w ciągu roku na konieczność marnowania owoców swojej pracy po cenach nie wytrzymujących krytyki. Bo tak już jest niestety, że to, co wieś sprzedaje za grosze, miasto kupuje za złote.

Czasem któraś z pań zbuntuje się i, jadąc do Warszawy, przowiezie partię drobiu, wędlin, miodu, czy masła, z dziecięcą wiarą w to, że wystarczy pokazać swój towar, aby był natychmiast rozchwytywany i to po cenie detalicznej. Tymczasem oferowanie dorywcze, przygodne utrudnia transakcję tem więcej, jeżeli kupiec wyczuje, że osoba sprzedająca musi się pozbyć za wszelką cenę przywiezionego ze sobą towaru, bo: albo potrzebuje koniecznie pieniędzy, albo też liczy się z tem, że lepiej sprzedać za byle co, niż wracać z tem do domu.

To też, poruszając sprawę, która tak dawno i tak szczerze leży mi na sercu, ujmuję ją inaczej.

Przy „niezorganizowanym” stanie rzeczy lepiej jest bezwzględnie sprzedać na miejscu po najniższej cenie, niż ryzykować.

Ale właśnie dlatego trzeba się zorganizować.

Ujmując to rzeczowo, organizacyjnie, trzeba, aby okolica podzieliła między siebie wytwórczość. Jedna z pań, posiadająca odpowiednie po temu warunki, zakłada **pasiekę**, dostarcza centrali miejskiej **miód** i **pierniki**. Druga hoduje na większą skalę **owoce drobne**, dostarcza je w sezonie do centrali, a na okresy jesienny i zimowy prowiduje je w przetwory owocowe. Trzecia prowadzi wzorową **masłarnię**. Czwarta zajmuje się produkowaniem **marynat, kiszonek**, jest poza



tem w sezonach nowalij dostarczycielką **jarzyn**. Inne znów wyrabiają **sery** zwyczajne, śmietanowe, na podpuszce smażone, prowadzą wzorowe **sady owocowe**, **hodowlę drobiu**, **wyrób wędlin**, **kwaciarstwo** i t. d., i t. d.

„Centrala” wzorowo i punktualnie prowidowana ma zbyt zapewniony. Klientela miejska niczego tak nie ceni, jak „produkty wprost ze wsi”, szczególnie, jeżeli się przekonają, że ta „wiejskość” jest najczystszej krwi, bez domieszki rąk handlarzy hurtowników (zjawiających się zawsze wtedy, kiedy **pani dziedziczka** najbardziej potrzebuje pieniędzy, a zatem jest wybitnie ugodowo usposobiona), kosztów miejskich domokrażców, fur stacjonujących przy rogatkach i całego aparatu pośrednictwa, stawiającego na pierwszym planie nie jakość produktów, a skalę zarobku.

W produkcję gospodarstw kobiecych wiejskich można by wnieść jeszcze dużo urozmaicenia. Wszystkie te smakołyki spiżarniane, tak bardzo cenione na wsi, spotykają się napewno w mieście z entuzjastycznym przyjęciem. Klientela składa się przecież w dużej mierze z osób, które nie nietylko cenią, jako urozmaicającą nowość, ale i powitają, jak skarbnicę wspomnień z czasów, kiedy żyły pod urokiem tajemnic spiżarnianych, tak żywo pobudzających wyobraźnię dziecięcą.

**Gruszki suszone w miodzie**, **sery owocowe**, **śliwki na patyczkach z kminkiem**, lub masą **marcepanową**, **owoce osmażane w cukrze**, **nugaty**, cały szereg „specjalności”, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, mogą doskonale znaleźć zastosowanie handlowe i zasilić kasę pani domu.

Jest tylko jeden warunek, wszystko, co byłoby robione, musi być traktowane poważnie i sumiennie. Żadnej dorywczości, żadnych kaprysów, zniechęceń, amatorskiego ujęcia, niepunktualności dostaw, które musiałyby tak fatalnie wpłynąć na sprawność funkcjonowania punktów sprzedażnych.

W razie, gdyby myśl rzucona wzbudziła zainteresowanie, zechcą Panie rozwinąć ją, kierując wszelkie listy w tej sprawie do Redakcji „Bluszczu” na ręce niżej podpisanej.

Wanda Dobrzańska.



# Przepisy gospodarskie

## Kurczęta.

*Kurczęta po włosku z ryżem.* Oczyścić starannie kurczęta młode i tłuste, wymyć w kilku wodach, osączyć, lekko nasolić. Rozpuścić w rondlu masło, licząc 5 dkg. na każde kurczę, podlać buljonem, dając łyżkę na jednego kurczaka. Dusić kurczęta pod przykryciem w masle z buljonem, dopóki nie będą zupełnie miękkie. Wtedy podzielić je na połówki, lub ćwiartki (zależnie od wielkości), ułożyć na wysmarowanym masłem półmisku ogniotrwałym, posypać po wierzchu suto tartym serem szwajcarskim. Zalać następującym sosem:

Proporcja na cztery kurczęta: 2 szklanki mleka, 1 szklanka śmietanki, 2 łyżki tartego sera, tyle mąki pszennej, aby sos był bardzo gęsty, 4 żółtka, czubata łyżka masła deserowego. Rozetrzeć mąkę w niewielkiej ilości mleka, rozebrać resztą mleka i śmietanki, przecedzić przez gęste sitko. Zagotować, mieszając bezustannie. Rozbić żółtka z dwiema łyżkami zimnego mleka, gdy sos zdjęty z ognia, zaprawić go żółtkami, posolić do smaku, wsypać dwie czubate łyżki tartego sera szwajcarskiego, włożyć świeże masło, doskonale wymieszać. Polać kurczęta tym sosem tak, aby były całkowicie przykryte, posypać suto tartym serem, skropić masłem. Zapiec na złoty kolor.

*Ryż do kurcząt.* Pół kilograma ryżu wymyć w zimnej wodzie, osączyć. Zagotować raz w obfitej wodzie, wylać na durszlak, przelać kilkakrotnie zimną wodą, osączyć. Wlać do rondla tyle mocnego rosółu, aby zaledwie nakrył ryż, dodać 10 dkg. masła, łyżkę konserwy pomidorowej. Zagotować. Wsypać ryż we wrzący rosół, zamieszać, wyrównać powierzchnię, przykryć, wstawić do pieca. W czasie wypiekania w piecu nie trzeba mieszać, a gdyby ryż wchłonął wszystek rosół i pozostał twardy, podlać go jeszcze kilkoma łyżkami rosółu. W piecu ustawić tak, żeby się nie rumienił od spodu. Na wydaniu wymieszać widelcem, rozprawdzając go na poszczególne ziarna. Najmniej ugotowany powinien być sypki tak, żeby każde ziarno było oddzielnie. Z tego ryżu zrobić około zapieczonych kurcząt żręczny rant.

*Kurczęta z jarzynkami.* Ugotować kurczęta w krótkim smaku z dodatkiem włoszczyzny i młodej cebuli. Gdy miękkie, wyjąć z rosółu, ułożyć na głębokiej salaterce, przykryć, aby nie obeschły.

Przygotować młode sezonowe jarzynki: marchewkę, groszek zielony, kalafior dzielony na poszczególne różyczki, szparagi krajane w niewielkie ukośne kawałki, albo jeżeli niema już szparagów to fasolkę szparagową. Włożyć jarzyny do rondla, podlać rosółem z kurcząt, przecedzonym przez gęste sitko, osolić, włożyć dobrą łyżkę masła, kilka gałązek koperku młodego. Dusić na wolnym ogniu, dopóki jarzynki nie zmiękną.

Podzielić kurczęta na połówki, lub ćwiartki, ułożyć je na okrągłym półmisku. Jarzynki doprawić do smaku, sos zagęścić

masłem przesmażonym z pół łyżką mąki, dodając do jarzynek już po zdjęciu z ognia siekanego koperku. Przykryć kurczęta jarzynkami. Wydawać bardzo gorące. Oddzielnie można podać ryż ugotowany na sypko, albo młode kartofelki z koperkiem.

*Kurczęta smażone.* Młode sześciotygodniowe kurczętka oskubać delikatnie, aby nie pozadziierać skórki. Wymyć, osączyć, posolić. Po upływie pół godziny podzielić kurczęta na połówki, każdą połówkę utarzać w mące, umaczać w rozbitych jajkach, skrzyżyć w tartej osianej bułeczce.

Rozgrzać w płaskim rondlu, albo na bardzo głębokiej patelni tyle szmalcu, żeby kurczęta w nim pływały, jak pączki. Smażyć na złoty kolor, a gdy się pięknie zrumienią, osączyć z tłuszczu na bibule, ułożyć w rynce ogniotrwałej i wsunąć jeszcze na 10 do 15 minut do pieca, aby się wewnątrz dopiekły. Podawać przybrane smażoną natką od pietruszki. Do kurcząt po wiedeńsku daje się mizerję, albo salatek zieloną zaprawioną sokiem cytrynowym i oliwą.

*Kurczęta z pomidorami.* Młode, mięsiste duże kurczęta oczyścić, wypłókać w kilku wodach, namoczyć na godzinę w zimnej wodzie. Wyjąć z wody, osączyć, posolić. Na każde kurczę wziąć: 5 dkg. masła, sporą cebulę, 2 łyżki konserwy pomidorowej, albo 1/4 kg. świeżych pomidorów, łyżkę tartego sera szwajcarskiego, 1 bułkę, 1 jabłko, 1 łyżeczkę buljonu.

Udusić cebulę z masłem, podlać buljonem, dodać lamane na cząstki pomidory, dusić chwilę, aby puściły sok (jeżeli bierzemy konserwę, to rozprowadzić ją rosółem, dając na każdą łyżkę konserwy łyżkę rosółu). Wkrajając obrane ze skórki i pokrajane na kawałki jabłka, ułożyć w tym sosie kurczęta, dzielone na ćwiartki dusić je na wolnym ogniu pod przykryciem, dopóki nie będą miękkie. Pod koniec duszenia wsypać ser, dodać bułki, połamane na kawałki, a w razie potrzeby dolać kilka łyżek rosółu.

Gdy kurczęta już zupełnie miękkie, wyjąć je z sosu, ułożyć na półmisku, który ustawić na parze, żeby kurczęta nie wystygły. Przykryć miską, inaczej obeschną. Sos przefasować przez sito, zagotować, dodać po zdjęciu z ognia kilka łyżek wina owocowego, doprawić do smaku solą, odrobiną cukru i białego pieprzu. Zalać kurczęta, podawać bardzo gorące. Do nich oddzielnie delikatne, małe kluseczki kładzione, kraszone masłem z cebulką.

Takie kurczęta są też wyśmienite na zimno. Zalane sosem i doskonale wystudzone podać, przybierając ćwiartkami jajek na twardo, młodziutkimi listkami salaty i plasterkami świeżych pomidorów ułożonych na salacie.

*Potrava z kurcząt z rakami, albo pieczarkami.* Ugotować kurczęta w krótkim smaku, wyjąć z rosółu, podzielić na ćwiartki, albo połówki. Ułożyć w rondlu, zalać sosem, trzymać pod przykryciem na boku blachy pół godziny. Nie powinny się już gotować, a tylko przejść smakiem sosu,

w jakim będą podawane. Oddzielnie dać ryż na sypko, albo drobne kluseczki, krajane, kraszone masłem.

*Sos pieczarkowy.* Białe, młode pieczarki poszatkować dosyć cienko, udusić w masle z cebulką, zakrapiając sokiem cytrynowym. Przyrządzić gęsty sos na podstavie rosółu z kurcząt i kwaśnej młodej śmietany. Włożyć do sosu duszone pieczarki, raz zagotować. Zalać sosem kurczęta, jak wyżej.

*Sos rakowy.* Czysto wymyte raki zalać wrzątkiem, osolić, włożyć dużo kopru, gotować 15 minut. Wylać na durszlak, osączyć, a gdy wystygną, odjąć szczyptę i szyjki, obrać je ostrożnie ze skorupki, starając się nie uszkodzić. Wymyć w zimnej wodzie, ułożyć na sitku, żeby obciekły z wody. Z szyjki trzeba wyjąć czarną kiszczykę.

Z wnętrza raków usunąć oczy i żółc. Pozatem wszystko wraz ze skorupkami przepuścić przez maszynkę od mięsa, włożyć w rondlek, zalać rosółem, dodając sporo masła. Gotować na bardzo wolnym ogniu, zbierając łyżką spływającą na wierzchu pożywkę. Gdy masło rakowe (pożywkę) przestanie się już wydobywać na wierzchu, przecedzić smak przez gęsty muslin, wymieszać z masłem rakowym i dodać do gęstego sosu śmietanowego. Wydając kurczęta na stół, wyjąć je z sosu widelcem, ułożyć na półmisku, do sosu dodać szyjki i łapki rakowe, sporo drobno siekanego koperku, raz zagotować, oblać kurczęta i natychmiast wydawać, aby nie wystygły. Oddzielnie podać ryż na sypko, albo kaszkę krakowską sypką, zacieraną jajkiem i wymieszaną na wydaniu z koperkiem.

## Melba

### BISZKOPT.

*Dodatki:* 4 jaja całe, 1 szklanka pudru cukrowego, 1/2 szklanki mąki pszennej, 5 krople olejku migdałowego lub cytrynowego „LUBA“, 1 paczka proszku do pieczenia „LUBA“, 1/2 szklanki „LUBOMINU“.

*Do przełożenia:* 1 kwatereka śmietanki kremowej, 1 paczka cukru waniljowego „LUBA“ i łyżka pudru cukrowego.

*Sposób przyrządzania:* Żółtka utrzeć do białości ze szklanką pudru cukrowego. Od doskonałego ich utarcia zależy dobroć biszkoptu. Białka ubić na bardzo sztywną pianę. Białka te mieszać z masą żółtkową, jednocześnie przesypując po łyżce mąką i „Lubominem“, zmieszaniem przedtem z proszkiem do pieczenia. Dodać olejek cytrynowy i upiec w płaskim rondlu lub tortownicy, wysmarowanej masłem i wysypanej mąką. Wyjmować ostrożnie, aby nie opadł i podać na gorąco lub na zimno z syropem owocowym lub z konfiturami, lub też po wystudzeniu przekrajać na płasko ostrym nożem i przełożyć kremem ubitym ze słodkiej śmietanki, zaaromatyzowanej cukrem waniljowym, utłuczonym i zmieszonym z pudrem cukrowym.

Taki biszkopt używa się też do wyrobu różnych tortów owocowych i kremowych.





# Ruszamy na wycieczkę!

Powietrze i ruch pobudzają apetyt a w drodze tak samo jak w domu znakomicie smakują

## Budynie Oetkera.

Prędko przywracają one siły zużyte, orzeźwiają i dobrze służą zdrowiu.

Dr. A. Oetker.



## Praca dla Kobiet

### w przetwórstwie mlecznym

Do zawodów, mających u nas jeszcze mało specjalistów i specjalistek, należy młeczarstwo i serowarstwo. Wobec wprowadzonej w życie ustawy nabiałowej są widoki, iż w zracjonalizowanej gospodarce mlecznej, w spółdzielniach młeczarskich, w twórnianach masła i serów, w oborach, we własnych gospodarstwach rolnych, w organizacjach przetworu i sprzedaży trzeba będzie zatrudniać siły fachowo wyszkolone.

Dla dziewcząt istnieje jedyna w Polsce szkoła młeczarsko-serowarska, kształcąca przyszłe kierowniczki i pracownice młeczarni lub serowni.

Jest to szkoła w Szafarni, poczta Golub — Pomorze, prowadzona przez stowarzyszenie „Służba Obywatelska”.

Kurs młeczarsko-serowarski w tej szkole trwa 11 miesięcy i obejmuje kształcenie zawodowe, teoretyczne i praktyczne w działach młeczarskim, masłarskim i serowarskim. Wykładane są następujące przedmioty: młeczarstwo, serowarstwo, chemia, mikrobiologia, badanie nabiału, hodowla zwierząt domowych i drobiu, gospodarstwo domowe i inne. Poza to prowadzone są zajęcia praktyczne w młeczarni i serowni, w oborze, chlewni i kurniku, oraz w kuchni.

Przed wstąpieniem na kurs kandydatki muszą odbyć co najmniej 3 miesięczną praktykę młeczarsko-serowarską.

Na kurs, rozpoczynający się dn. 20 sierpnia, przyjęte mogą być zdrowe dziewczęta, które ukończyły 16 lat życia i mają świadectwo 7-oddziałowej szkoły powszechnej III stopnia lub wykształcenie równoważne.

Poza to szkoła przyjmuje specjalne praktykantki do młeczarni szkolnej.

Absolwentki kursu uzyskują świadectwa i mogą otrzymać praktyki płatne lub posady w młeczarniach i serowniach.

Szkoła w Szafarni (Informacje i podania w dyrekcji: Prywatna Żeńska Szkoła Młeczarsko-Serowarska w Szafarni, poczta Golub-Pomorze) położona jest w ładnej i zdrowej okolicy. Szkoła i internat mieszczą się w wygodnym budynku (kanalizacja, elektryczność), otoczonym parkiem. Urządzenia młeczarni i laboratorium są naj-

nowszego typu. Biblioteka, świetlica, samorząd szkolny, zajęcia kulturalne, ćwiczenia fizyczne, gry sportowe wypełniają uczniom czas, wolny od nauki.

Jest to placówka gospodarczo-kulturalna, w której młode dziewczęta znajdują w dobrych i tanich warunkach pobytu wykształcenie zawodowe i obywatelskie, pożyteczne w przyszłości.

## KOMUNIKAT NACZELNICTWA Związku Harcerstwa Polskiego

W związku z pojawiającymi się w prasie niepokojącymi wiadomościami o zmianie ideologii harcerskiej Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego stwierdza, że ideologia ta, rozwijając się w promieniach służby Bogu, Polsce i bliźnim, posiada za swą najgłębszą podstawę naukę Chrystusa i w żadnym stopniu zmianie nie uległa.

Przeciwnie ostatni Walny Zjazd Z. H. P. (najwyższa organizacyjna władza Związku) uchwalił wniosek treści następującej:

„Wychowanie młodzieży harcerskiej opiera się na zasadach nauki Chrystusa”.

Władze duchowne szczególnie życzliwie odnoszą się do żywiołowo rozwijającego się harcerstwa. Pieczę nad wychowaniem religijnym sprawuje Rada do spraw religijnych oraz kapelani harcerscy wraz z Naczelnym Kapelanem Związku, mianowanym przez Jego Eminencję ks. Kardynała Kakowskiego.

Związek Harcerstwa Polskiego, stojąc na gruncie etyki chrześcijańskiej, której myślą przewodnią jest miłość bliźniego, oraz powodując się dobrem Państwa, przeciwstawia się najkategoryczniej wszelkim próbom wciągania młodzieży w wir czynnych walk z żydami. Sprawa przyjmowania do harcerstwa młodzieży żydowskiej nie uległa żadnej zmianie, wogóle władze Związku ostatnio się nią nie zajmowały.

Wreszcie pewien odłam prasy zarzuca, iż harcerstwo propaguje t. zw. „nową moralność”. Związek Harcerstwa Polskiego autorytatywnie stwierdza, że jego podsta-

wy ideowe chrześcijańskie zostają nienaruszone i X punkt Prawa Harcerskiego brzmi bez zmiany: „Harcerz (harcerka) jest czysty (czysta) w myśli, w mowie i w czynkach.

Wiceprzewodniczący Z. H. P.:

(—) Ks. Dr. Jan Mauersberger.

Sekretarz Generalny Z. H. P.:

(—) Wiktor Daniłowicz.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

*P. Eli z Łodzi.* Zęby śnieżnej białości, pomimo palenia, będzie pani miała, stosując do mycia rano i wieczorem *wybielający proszek Albol*, który rozpuszcza nalot tytoniowy i kamień nazębny. Nawet bardzo zaniedbane zęby, po kilku dniach stosowania *Albolu*, będą śnieżno-białe. Jako tłusty delikatny krem na suchą cerę, polecam *Crem Neutre*, który jest przygotowany na mitynie i doskonale działa na suchą cerę.

*P. D. Krak...* Ma pani rację, że piegi bardzo szpecą cerę. Jako najlepszy środek do wygubienia piegów, polecam pani stosowanie na noc *Kremu Preciosa* i lekkie przypudrowywanie pyłkiem wybielającym *Juvenia Candida*. Rano twarz zmyć, jak zwykle, najlepiej ciepłą wodą i *otrąbkami Abarid*. Jeżeli pani chce zapobiec opaleniznie, to twarz radzę wycierać 3 — 4 razy dziennie watą zmoczoną we *wschodnim płynie Mimosa*, który nie tylko utrzymuje czystą białą cerę, ale nadaje jej matowość i usuwa wszystkie pryszcze i wagi.

*P. Toli z Radomia.* Brwi na trwałe, niezmywający się ciemny kolor, najlepiej zrobić *Hennoliną do brwi*. Jest to najpewniejszy i niekropotliwy środek. Co się tyczy ust, to najlepiej używać *płyn Roseinę* ciemną, która daje ustom zupełnie naturalny kolor, i utrzymuje się kilka godzin, nie schodząc nawet przy picu i jedzeniu.

M-me Ercèdes.

Dr Michałek-Grodzki  
**OPERACJE KOSMETYCZNE**  
Złota 5 (lecznica) Warszawa.



Wszystkim Paniom, wyjeżdżającym na wieś,  
polecamy doskonale książeczki Wydawnictwa

## „**ŻYCIE PRAKTYCZNE**“

Potrawy z jarzyn  
Co można zrobić z mleka  
Co można zrobić z owoców  
Co trzeba wiedzieć o grzybach  
Potrawy i konserwy z grzybów  
Drób i sposoby przyrządzania  
Hodowla i tuczenie drobiu  
Jarstwo i surówka  
Konfitury, kompoty i inne konserwy owocowe  
Zbiór i przechowywanie owoców  
Książka kucharska dla oszczędnych gospodyń  
Wina owocowe  
Obiady na maszynie  
Potrawy z kartofli  
Sałaty i sałatki  
Zimne leguminy  
Jarzyny na zimę  
Zimne napoje  
Zimne zakąski  
wyrób serów  
Pieczywo domowe  
Sto potraw z jaj  
Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cena każdej książeczki **1 zł.**, z przes. poczt. **1 zł. 30 gr.**  
Do nabycia w **Towarzystwie Wydawniczym „BLUSZCZ“**  
Warszawa, **Solec 87 i Świętokrzyska 17**  
oraz we wszystkich większych księgarniach

**Najmilszym przyjacielem**  
jest dobra książka  
**Największą ozdobą każdej biblioteki**  
jest pięknie wydana książka  
**Najdostępniejszą rozrywką**  
jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki  
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ“

Ostatnio ukazała się książka  
Jadwigi Kiewnarskiej p. t.

## NAJZIWIWIEJSZY Z ROMANSÓW PANI SAND

Do nabycia we wszystkich  
księgarniach

CENA  
6 złotych

**J**ak wykonać cały szereg wykwintnych,  
modnych rzeczy, nauczy Panie książeczka

p. t.

## „ARTYSTYCZNE PIKOWANIE“

w opracowaniu T. GŁĘBOCKIEJ

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ —  
Warszawa, **Solec 87, i Świętokrzyska 17**  
m. 3 oraz we wszystkich większych księgar-  
niach. Konto P.K.O. 13.555.

CENA 1 zł. 50 gr. z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.